

Łoś Wincenty

CHŁOP

Nowele:

Spirtuo z Rozdołów

Głuchy Michał

Babka bez zięcia

Klacz moja "Iskra"

Smolarz

Zapart od chartów

SPIRTUO Z ROZDOŁÓW.

I.

Była to niedziela.

Rozdoły roily się od wystrojonych dziewczek i oporzadzonych parobczaków, a wszystko to śpieszyło w stronę kościołka, którego wieżyczka widna zdala, teraz połyskiwała do wiosennego słońca i donośnym dźwiękiem wzywała do stóp swych blizkie i dalekie siola.

Pod kościołem jeszcze panowała cisza. Dziad roztwierał dopiero na rozcież cienkie wrota, prowadzące do jego wnętrza, a organista stroił na gorze organy, by go w ważnej chwili nie zawiodły.

A kościół to był, jak wszystkie, ze spadzistym dachem, stał na pagórku i miał trzy wejścia. Jedno prowadziło do głównej nawy, dwa boczne zaś do dworskiej kaplicy i do zakrystyi.

Ku tej ostatniej dążyło pośpiesznym krokiem dwóch chłopaków, którzy wyglądali jak dwa bliźniaki. Obaj jednakowego byli wzrostu i podobnej budowy.

Obaj jednakie mieli ubranie, złożone z brunatnej sukmany, z pod której widniała tylko u każdego biała z grubego płótna koszula, związana u szyi czerwoną tasiemką.

Chłopcy mogli liczyć najwyżej po czternaście lat wieku, wyglądali ozywieni, a twarze ich były wyraziste.

Jeden z nich mianowicie, brunet, miał dziwnie rozbudzone oblicze, sprytne oczy i przedwcześnie wykształcone rysy, w którychbyś już z trudnością odnalazł dzieciaka.

Szedł on pierwszy, robiąc ogromne kroki swymi krótkimi nogami, obutymi w zaduże i ciężkie buty.

Widocznie usiłował wyprzedzić swojego rówiennika, który drobił za nim i biegł prawie, by mu tylko dorównać.

Obaj się zadyszali i zwolnić musieli pod pagórkim, u szczytu którego stały na podwyższeniu z trzech kamiennych schodów, drzwi gęsto obite gwoździami, z dużym czarnym zamkiem i tkwiącym w nim kluczem.

Te drzwi prowadziły do zakrystyi.

— Słuchaj ino Antek — odezwał się, stanąwszy wreszcie na pagórku, pierwszy wyrostek, obracając się do towarzysza i przybierając energiczną, buńczuczną minę — jak ty mnie będziesz wyprzedzał i przezemnie wołał "amen", to ja ci takie sprawię lanie, że świece ci się zaświecą we łbie, kieby na roratach.

— Ciewy? — odparł przystając zadyszany Antek — takiś ty zuch! patrzajcie go! Abo ja ci gębę zatykam? Gadaj sobie zdrów! a ja się żadnych pogroźek nie boję i na ciebie jakaś czekać nie będę, gdy jegomość zaśpiewa "dominus vobiscum". Durnyś Maciek z twemi roratami, lepiejbyś uważał na jegomościa i dachem, ino usłyszysz cuum, walił swoje et cum spiritu tuo.

Maćka oczy, wlepione w oczy Antka, piorunowały. Zacisnął usta, ręce zwinięte w pięście schował w kieszenie od sukmany i wycedził dobitnie:

— Więc ty! ino się miarkuj i czekaj, żebyśmy obaj wraz odpierali jegomości, bo cię śmierć minie, ale cię zemną obrachunek nie minie.

To powiedziawszy, ruszył pierwszy i w chwilę potem wszedł do zakrystyi z trudnością otworzywszy drzwi, które pomagając sobie kolanem, ledwie zamknął za sobą Antek.

Tutaj obaj przywdzieli szerokie białe koszule ozdobione od dołu koronką, a wyjęli je z dużej szafy dębowej i przy niej stanęli w milczeniu. Przypatrywali się sobie wzajemnie co chwila, a za każdym spojrzeniem inny wyraz okraszał ich młode twarze.

Zdawali się z niecierpliwością, oczekiwać początku nabożeństwa, które jakkolwiek napępniało ich uroczystym nastrojem, nie przeszkadzało im w przechowaniu swych zobopólnych uraz, bo Maciek często marszczył brwi i zaciskał usta, a Antek to uśmiechał się figlarnie, to znów płaczącą robił minę, gdy go despo-

tyczny towarzysz z nienaacka obdarzył kuksem, ręką w pięść złożoną i w fałdach koszuli ukrytą.

Wreszcie kościół się napępnął pobożnym tłumem, proboszcz się ubrał i dzwonek oznajmił początek mszy.

Maciek z księgą w obu rękach, a Antek jak zawsze, tak i teraz za nim, ruszyli za księdzem.

Msza się zaczęła.

Czternastoletnia twarz Maćka zmieniała się ciągle i stopniowo, przybierając coraz ostrzejszy i starszy wyraz. Zaciskając usta, spoglądał na Antka, który udawał, że nie czuje tego wzroku towarzysza spoczywającego uparcie na nim, tylko po każdej odpowiedzi rzuconej księdzu, uśmiechał się cichaczem, opuszczając głowę, jak gdyby tej wesołości powstrzymać nie mógł.

Maciek zaś się mienił: różowa czerwoność młoda, świeża, okrywała całą twarz jego aż po białka oczu, po uszy.

Straszny gniew wrzał w nim i rodziła się w tem młodziuchnem sercu szalona złość, bo Antek wciąż go wyprzedzał w odpowiedziach.

Zaledwie ksiądz skończył śpiew, gdy już Maciek odpowiadał, ale odpowiadał sam, bo Antek zdołał go wyprzedzić. Zdawało mu się, że cała gromada wtapia w niego pytające oczy, dlaczego Maciek później od Antka odpowiada, czyby się nie nauczył jeszcze, czy co?

Rumieńce wstydu paliły jego twarz i czuł, że gdyby nie kościół, nie msza święta, z nieznaną sobie samemu zjadłością rzuciłby się na Antka.

To hamowanie się pogarszało jego wewnętrzne cierpienie.

Myślał jak się zemści, kiedy, w jaki sposób. Układał w głowie cały plan bitki, w którejby mu się udało powalić swego równiennika i na zawsze go odućzyć od wyprzedzania go.

Te myśli jeszcze bardziej go rozstrajały i coraz większe popełniał omyłki i coraz dłuższym mu się wydawał czas, jaki upływał między końcem odpowiedzi Antka, a jego.

Zdawało mu się, że ta msza się nigdy nie skończy, a Antek się wciąż śmiał i co chwila wyzywająco na niego spoglądał.

W tem ksiądz zaśpiewał ostatnie.

— Dominus vobiscum.

Antek odparł.

— Et cum spirtuo.

Maciek zaczął

— Et cum — i urwał, bo się bał już usłyszeć tego straszego solo wymawianego — spiritu tuo, bo Antek już wstawał, by przejść na jego miejsce, jak porządek tego wymagał.

Maciek się zerwał, i gdy u stóp ołtarza w samym środku wymijał Antka, gdy tenże wyzywający i pytający uśmiech mu w twarz rzucił, poczęstował go krótkim niewidzialnym kułakiem, ale tak silnym i tak dobrze obmyślanym, że Antek aż głucho jęknął i zachwiał się.

Msza się skończyła, ludzie się rozeszli, kościół się opróżnił i nastąpiła niedzielna cisza popołudniowej godziny, w której tylko świergot ptaków, gnieźdzących się w krzewach bzów pod świątynią, tchnął wiosenną życiem.

W wąwozie prowadzącym od kościoła do wsi, stał Maciek ukryty w krzakach i czekał na kogoś, bo wyzierał wciąż na ścieżkę wijącą się po pagórku.

Tą ścieżką biegł Antek od kościoła do domu.

Ale Maciek mu zastąpił drogę, w chwili gdy go już miał wyminąć.

— A co — zapytał, wyciągając z kieszeni swe drobne ręce i plując w nie, jak to czynią chłopcy, zabierający się do walnej rozprawy — a co? Teraz choćbyś i jednym tchem całą mszę świętą wyrecytował, to cię śmierć nie minie, ty psia bestyo, ty spirtuo.

To mówiąc, rzucił się na Antka i stoczyli się obaj z pagórka, trzymając się za bary i walając w kurzu.

Obaj byli snąć równych sił, bo z godzinę trwały te milczące zapasy, w których tylko słychać było chrapanie wysiłonych piersi.

To jeden, to drugi był górą; to jeden to drugi stękał, jak gdyby mu coś gniotło klatkę piersiową; to jeden, to drugi z wysiłkiem, słabym głosem szeptał niezrozumiałe obelgi.

Wreszcie podniósł się Maciek z ziemi, opuszczając ledwie dyszącą ofiarę.

— Ty spirtuo! — mruknął tylko z wysiłkiem i splunął, ruszając z miejsca.

Ale nie uszedł kilka kroków i sam się obsunął na ziemię.

I.

Minęło lat dziesięć.

Wszystko się na świecie zmieniło, w Rozdołach nie wiele, bo ten sam kościółek rozglądał się ze swego pagórka po tych samych starych strzechach pokrzywionych chałup. Ta sama wydeptana ścieżka prowadziła od świątyni do wsi, omijając wąwóz — i tylko podrosły ocieniające ją krzaki, a spoważniały stare szumiące nad nią

lipy.

Tak samo też i ludzie, jedni pochylili swe jaśniejsze głowy ku ziemi, a drudzy wystrzelili ku niebu.

We wsi panowała niezwykła cisza, bo to był dzień słynnego dorocznego jarmarku, w niedalekim Murlasie. Co żyło, podążyło na tę ludową uroczystość i zostały tylko stare baby i dzieci, bawiąc się na gościńcu piaskiem, czy w podwórzach tarzając się w kupach wysuszonego gnoju.

Ale jedna chałupa stała w Rozdołach na pagórku, tuż nad gościńcem, zupełnie inna od swych sąsia-

dek, strojna i prosta, wybielona i nowa, jakby domostwo jakiego przodownika gromady, czy spanoszonego wójta. Zbudowana też była według nowych zasad i postępowych pojęć. Światło do jej wnętrza wpuszczały dwa duże stosunkowo okna, z umalowanymi futrynami, a nietylko że była wyższa od wszystkich, ale nadto na podmurówce wzniesiona.

Chałupa ta wyglądała, jak gdyby ja postawiono, by zdołała stare i walące się Rozdoły; by zwracała uwagę przechodnia, zastanawiając nad znaczeniem właściciela.

To też nie przejechało ani nie przeszło gościńcem dwóch chłopów, odkąd ona tutaj stanęła, z którychby jeden nie zwrócił na nią uwagi i nie odezwał się.

— Toż temu Maciejowi Salamandrze dobrze dziać się musi, skoro sobie taki dwór pobudował i jeszcze okna, kiejby nie chłop jaki, tylko szlachcic, czy co u licha, pomalował.

Ogromnie się Rozdoły i wszystkie wsie okoliczne nad tą chałupą Macieja dziwiły. Jedni go potępiali, drudzy ruszali tylko ramionami, a byli i tacy, którzy się śmieli, ile razy spojrzeli na to domostwo, tak mało od innych się różniące, nieco wyższe, nieco bielsze i kwita.

Dnia tego na ławie przed tą chałupą siedziała niewiasta, trzymając na kolanach małe dziecko, niemogące więcej liczyć, nad kilkanaście miesięcy. Rozglądała się dokoła siebie i zdawała się dziwić, że tak we wsi cicho i głucho, że nikt w tę, ani owę stro-

nę nie śpieszy; że żadne głosy nie wydobywają się z zagród, nie prują powietrza i nie zapełniają życiem wioski.

Wtem usłyszała głos, odzywający się, jakby od strony sąsiedniej zagrody, od płota tworzącego granicę, między Salamandry a Gorzenia przysadą.

— Maciejowa! Madejowa — brzmiał kobiecy głos cichy i stłumiony.

— A to wy Antkowa! — odezwała się w odpowiedzi zagadnięta, po chwili rozglądania się dokoła i poznawszy swą sąsiadkę zakrytą do połowy płotem, a do drugiej połowy ginącą w gałęziach wiśni. — No chodźcie tutaj i nie bójcie się; mojego niema w domu, pojechał, jak i wasz, na jarmark. Chodźta! pogawędzimy, bo i tak siła czasu nie wymieniliśwa pozdrowienia.

Tymczasem Antkowa przeskoczyła lekko płot i dążyła ku Madejowej.

Obie kobiety były jeszcze młode. Praca nie zniszczyła cery delikatniejszej ich twarzy, ani nie zdarła jeszcze z ich oblicza młodocianej świeżości.

Widocznie bardzo niedawno one za mąż wyszły, a lgnęły dawniej do siebie, gdy były hożemi dziewczkami, gdy robota we dworze u żniwa, czy u młocarni, łączyła je codzien razem.

Rozmawiały to o tem, to o owem: to przycichały i szeptały, jak gdyby je kto mógł podsłuchać — to wybuchały głośnym śmiechem, to wyrzywały sobie wza-

jemnie słowa, jak gdyby w tak bliskim sąsiedztwie rzadko miały sposobność wygadania się.

A to jedna, to druga od czasu do czasu wyciągała głowę i zdawała się śledzić,

czy ich kto z gościńca, lub z chałupy jakiej nie widzi i nie podgląda.

Wreszcie ciężko westchnęła Antkowa i odezwała się.

— Oj bieda! bieda! z tymi naszymi chłopami!

O co oni tak na siebie się rozżarli? I tak nam, cośwa się dobrały i poprzyjaźniły, trzeba się cichaczem, kiej złodziejkom jakim, wystrzegać, gdy się zejdzie. Żeby choć żywa dusza wiedziała, o com tym chłopom poszło i o co wasz tak się rozżarł i co im się uplatało?

Madejowa westchnieniami tylko potakiwała przyjaciółce, a gdy ta spoglądając na nią przycichła, odezwała się.

— Ale to tak się rozżarł, mówię wam Jantkowa, że kiejsikś już, już myślałam, że przyjdzie do bójki

i że jeden drugiego poturbuje.

— Kiejsikś to było? mówcie la Boga! — wtrąciła żywo zaciekawiona kobieta.

— Ot! posłuchajcie, to wam opowiem, a może co wymiarkujecie, bo ja już całkiem głupia i tych chłopów pojąć... nie moja głowa.

— Nie nasza i niczyja — podchwyciła znów druga — bo kiedysikś sam jegomość pytał się mojego, o co on tak się na waszego sierdzi, a chłop odparł.

— Co odparł?

— Ino odparł: "niech jegomość dają spokój, już nas nikt nie pogodzi, tylko święta ziemia, gdy jegomość nas do niej pokropi". Tak mój powiedział; ale opowiadajcie, coście mieli na gębie.

— Oto — zaczęła Maciejowa — kiejsikś tak sobie siedziałam, kiejby dzisiaj, a mój poszedł między czereśnie i kozikiem obcinał gałęzie, co je robaki przysiadły. Wtem!... słyszę, mój cościkś gada, obracani się a tu patrzę i oczom nie wierzę... Wasz takosikś chodzi po swoim sadzie i obziera te jabłonki, co posadził tak rok.

— Chryste panie! nic a nic, żeby mnie kto zabił, nie wiedziałam o tem. I chłopcy przemówiły się? — wtrąciła Antkowa, nachylając się do sąsiadki z najżywszą ciekawością.

— Co oni sobie zrazu powiedzieli — ciągnęła dalej Salamandrzyzna — tego wam nie powiem, bo nie słyszałam. Ale zaraz, jak tylko nadstawiłam uszu, to wasz tak mówił do mojego: "Macieju, żebyście i takimi nożycami, jak ma ogrodnik we dworze, krzesali wasze gałęzie, to i tak moje czereśnie wcześniej dojdą, niż wasze, bo to już takie między nami założenie".

— A to chłop bestya niepomiarkowany! — wtrąciła Gorzeniowa.

— Ale słuchajcie dalej — podchwyciła opowiadająca. — Mój na te słowa zaraz się rozsierzdził i odparł: "Kto dożyje, Bóg da, to zobaczy, a stul mordę i nie zaczepiaj, skoro się do ciebie nie odzywam". Ale wasz zaśmiał się na całe gardło i nie powiedział nic, tylko.

— Ino co?

— Ino "Spirtuo" i śmiał się. Żebyście byli widzieli mojego? Jak się zapieni, jak podskoczy, jak sunie... Jednym skokiem byłam tuż przy nim i to właśnie, gdy mój przez płot przełaził. Chwyciłam go za sukmanę i trzymani, a chłop się pieni i byłby mnie zabił, gdyby nie to że mu nieporęcznie było na płocie. "Puść mnie babo" woła Salamandra, a ja trzymani go na płocie, tak kiejby na koniu, a wasz ino się śmieje i bierze pod boki i woła: "ty spirtuo". A co wasz powie "spirtuo", to mój, aż, aż kipi, aż myślałam, że go krew zabije. I gdyby nie Szczepan, co mi przyszedł w pomoc, byłabym mojego choć na płocie nie utrzymała.

— A cóż mój?

— A wasz przyskakiwał do płota i tylko, jak wilk zęby ostrzył i wraz! wraz! mu walił "Spirtuo".

— A wasz cóż gadał?

— Ot, co gadał? gadał jak chłopcy, gdy ich złość rozbierze — odpowiadała Madejowa — przeklinał: "ty kundysie, ty psi ogonie, ty jucho"; a wasz? wasz

tylko to "spirtuo" powtarzał, ale to tak wraz wraz, mówię wam, kiejby zegar jaki, czy maszynka, "spirtuo!" i "spirtuo!"

Obie kobiety głęboko się zamyśliły i dopiero je obudził daleki turkot wozu.

— W tem "spirtuo" jest wszystko — odezwała się Madejowa-bo choć mojego w całej wsi Spirtuo przezywają, to on o tem czy nie wie, czy co, dość, że gdy go kto tak przeklnie, toby bez upamiętania zabił.

— To "spirtuo", co to może mieć za znaczenie? — wtrąciła po namyśle Antkowa.

— Ot, jak każde przekłęcie, tylko, jak wiecie, jednemu to, a drugiemu tamto solą w oku.

— Ale kiejtam? — podchwyciła znów Antkowa — raz mi mój powiedział: "Słuchaj Maryna, jakby ci kiedy po sąsiedzku Salamandra co na despet zrobił, to ino mu powiedz "spirtuo", to on już ciebie się będzie wystrzeżał".

— Lo Boga, lo Boga! — zawołała Maciejowa — toby was zabił; a nie spytałyście się go, co to znaczy, to przekłęcie.

— Ojć, spytałam.

— I cóż wasz?... jakże wytłómaczył?

— Powiedział: "nie twoja to sprawa zrozumieć; jest w tem taka moc na Salamandrę".

Znów obie kobiety się zamyśliły i długo siedziały w milczeniu, póki nowy turkot skręcającego już z gościńca we wieś wozu ich nie ocknął.

Antkowa się zerwała.

— Z jarmarku już ściągają! — zawołała i pobiegła prosto przez płot do zagrody, a Maciejowa wstała z ławy. W tem dziecko, które trzymała na rękach, obudzone jej gwałtownym ruchem, zaczęło płakać w niebogłoso, a baba rozdrażniona tym krzykiem, przychodzącym nie w porę, bo właśnie zastanawiała się nad temi gniewami sąsiadujących chłopów, uspakajała niemowlę, szepcując.

— A będziesz ty cicho ty bekso! a będziesz ty cicho, ty ladaco! a będziesz ty cicho... ty spirtuo!

III.

Gościńcem prowadzącym z Murlasu do Rozdołów, toczył się spóźniona nocna pora wóz drabiniasty, w którym siedziało dwóch chłopów, Jeden z nich powoził dwoma różnymi końmi, a drugi dobrze podchmielony, kiwał się na siedzeniu obok niego i zagadywał wciąż towarzysza, majaczącym językiem.

Wspaniały księżyc oświecał ich jak w dzień, z czego zadowolony był powożący, bo wciąż widział swoje konie, na które spoglądał z niewymownym zadowoleniem, odbijającym się na jego trzeźwiącym powoli obliczu.

— A co? ha? Salamandra? co? — odezwał się kiwający się przy nim chłop — szkapy dobre i dobrze wam naraiłem...

— A wio! — odparł Maciej, świstając batem nad uszami koni i podobny do świstu wydając równocześnie głos z gardła — idą wraz do czarta i ogonami robią. Kiejby jakie paradyjery. Już to nie można wam odmówić, że wy się na szkapach rozumiecie...

— Ha! a co z tege, jaa waam już mówię, że Gorzenia koniska ani się do tych umywały.

— Czy tak na sumienie gadacie?

— A wio, na suumienie... już ja wam móówię, że... na suumieniee...

— Naprzód wam powiem — podchwycił trzeźwiejący Maciej — że po pierwsze... maściste są juchy... a po drugiee...

— Po drugie na sumienieee...

— Po drugie — ciągnął dalej Salamandra, odzyskując władzę w języku — są wraźne, po trzecie sąaa tego...

— Na sumienie!

— Tak na sumienie po trzecie... wio... hetta!

— Mówię wam — nadzwyczaj głośno podchwycił kiwający się chłop — mówię wam na sumienie, na sumie-nie! na suuu-miee-nieeee...

Tu urwał i po chwili dalej wciąż powtarzał to jedno słowo, coraz głośniej, coraz śpiewniej, aż wreszcie na całe gardło zanucił:

— Na suuu-mie-niee! mó-wieeee waam Macieeee !... juuuu...

W tem ucichli i nadstawili uszów, jakby się zlekli tej melodyi, rozchodzącej się wśród nocnej ciszy i górującej nad turkotem wozu, dźwięczącego swem rozluzowanym żelastwem.

— Ktoś jedzie! — zawołał Maciej, obracając się. Rzeczywiście drugi chłopski wóz nadjeżdżał za

niemi szparko w rozpędzonym galopie.

Maciej popędził konie, by się nie dać dogonić ani wyminąć. Podniósł się na siedzeniu, a towarzysz

jego, straciwszy w ten sposób podporę, obsunął się na drążek wozu.

Konie gnały, ale następny wóz ich dopędzał i już tuż tuż był za nimi, a chłop siedzący na nim wołał na Macieja.

— Z drogi! z drogi! psiawiaro!

Salamandra zbladł, w tej samej chwili, wytrzeźwiał, poznał bowiem głos pijanego Jantka Gorzenia. Zaciśnął usta i popędzał szkapiny, a twarz mu krwią nabiegała.

— Z drogi! — wołał pijany Gorzeń. Salamandra umykał, odwracając się tylko od czasu do czasu i grożąc batem goniącemu go.

Byłoby się zapewne na tej gonitwie skończyło, gdyby towarzysz Macieja nie był zdołał się podnieść na wozie i nie zaśpiewał do Gorzenia.

— Co ty sobie myślisz gawronie? Niedoczekanie two... je... wara ci, stul mordę... Salamandra jedzie, widz... kpie!... kun... dysie jeden.

To powiedziawszy, runął w półkoszki wozu, ale Gorzeń w teże chwili zaciął konie i w szalonymi pędzie wymijał Macieja.

Na chwilę zrównali się razem.

Maciej stanął w wozie i wołał rozpaczliwie zaciętym, pijanym głosem.

— Nie wymijaj! nie wymijaj!

A Antek Gorzeń trzeźwiej gzy wymijał i krzyczał drwiąco.

— Ja zawdy pierwszy, Macieju. Takie to już założenie. "Wasze szkapiny... hej! bułany! hej! fiuuu.

— Nie wymijaj! złodzieju!

— Ty spirtuo! — huknął w odpowiedzi Gorzeń i wyminął jak strzała Salamandrę, który się zapienił i zaczął okładać batem konie, ale na próżno.

Powoli turkot Gorzeniowego wozu coraz słabiej dochodził uszów Macieja, choć i on popędzał konie.

Dzika złość opanowywała go stopniowo, w miarę jak trzeźwiał. A trzeźwiał, bo zwolnił kaniom biegu, mrużąc przez zaciśnięte zęby.

— Spirtuo... dogonię ja cię... rozprawimy się wreszcie... zatrzymasz ty się przed karczmę "na Pocieszę", i tak, albo tobie, albo mnie śmierć być musi, niech się dzieje, co chce!

Konie biegły, a księżyc oświecał rysy Salamandry, coraz dziksze, coraz trzeźwiejsze.

A towarzysz jego, leżący w wozie jak długi, mrużął.

— Ha... psiamać! Jantek wyminął, niech go kaaci!... kundys!... Ja ci mówię, Spirtuo, nie daj się... nie daj! się! nieee daaj się... Spir-tuo! Spir...

Maciej słyszał, ale nie zważał, bo oczy jego dostrzegły już karczmę "na Pocieszę", przed którą stały chłopskie wozy powracających jarmarkowiczów.

Konie stanęły, Salamandra zeskoczył z wozu i zatoczywszy się kilka razy, wpadł do karczmy. Odnalazł Gorzenia i stanął przed nim wściekły.

— Ja waam mówił... — zaczął — nie-wy mijajcie.

A Gorzeć wyprostował się i odparł:

— Dajcie mi czysty pokój, kupiliście se ta liche szkapy, co się mnie czepiacie? gościniec i dla mnie i dla was, wieźcie o tem!

— Cichobyście byli, bo jak lunę! — podchwycił Maciej, wyciągając rękę, jakby do uderzenia.

— Spir-tuo! — huknął Gorzeń i nie dokończył, bo w tej chwili Salamandra, jak wściekły zwierz, rzucił się na niego.

IV.

Na popielatych drzwiach dużego domu, stojącego poważnie nad gościńcem w Murlasie, stał napis "Sąd okręgowy".

W tym domu i dokoła niego, dnia owego było ludno i gwarno.

W sali, gdzie zasiedli sędziowie, panował tłok, z wyjątkiem przestrzeni rezerwowanej dla sądu, obrońców, obwinionego i świadków. Mimo licznego jednak zgromadzenia ludzi, uroczysta panowała cisza w tłumie, bo to sądzono rozgłosną sprawę.

Za kratkami, w kącie, na ławie na brązowo pomalowanej, siedział Salamandra, a przy nim stało dwóch żołnierzy pod bronią z jednej strony, a z drugiej znajdował się jego obrońca.

Maciej wyglądał ponuro, ale zdecydowany na wszystko i bynajmniej nie skruszony. Siedział poważnie i zdawał się przysłuchiwać rozprawom, zeznaniom świadków, obojętnie, jak gdyby tu chodziło nie o niego, jakby raczej on jednym był z sędziów, rozstrzygających w tej sprawie.

Patrzył prosto przed siebie suchym i twardym wzrokiem, zaciskając usta tylko, gdy go coś wewnątrz zbyt zabolalo, lub gdy jaka zła myśl przebiegła mu po głowie.

Czasem, ale to rzadko, rzucał oczyma na prawo od siebie w stronę przeciwległej ściany, pod którą stał Antek Gorzeć, otoczony chłopstwem, jakiś zabiedzony, ale jak zawsze szyderski i raczej wesoły.

Zresztą Maciej wyglądał znudzony tą obojętną komedią, dla której uszanowanie nakazywało mu zachowanie się pełne godności i spokoju.

Świadkowie zeznawali, że owego dnia Maciej Salamandra zaczepił Gorzenia, rzucił się na niego, złamał mu dwa żebra, wybił trzy zęby i odgryzł pół ucha i jeden palec, A wszystkiego tego dokazał w ciągu kilku chwil, w których chłopci zgromadzeni w karczmie, nie widzieli potrzeby interweniowania. Świadkowie dalej zeznawali, że Salamandra był jednym z najzabieglivszych gospodarzy w Rozdołach, że nie był pijakiem, ani warchołem, ale tylko zawsze porywczym i zawziętym.

Dalej zeznawali, że między Gorzeniem a obwinionym o zbrodnię, istniała od dawien dawna od chłopięcych lat, nienawiść połączona z zazdrością

i zawiścią, że ta nienawiść wzrosła, gdy Gorzeń postawił sobie nową chałupę i tem samym zmusił Salamandrę do postawienia nowego domu. Wreszcie jednogłośnie zeznali, iż Salamandra bijąc Gorzenia, szeptął tylko przez zęby Spirtuo i że to było jego nałogiem, to słowo, gdy wpadł w furię; że ile razy go kto tem słowem poczęstował, to chłop się na niego rzucał i stąd też w całej wsi po za oczami Salamandry nie nazywano go inaczej, tylko Maciejem Spirtuo.

Na tem mniej więcej skończyły się zeznania świadków i przewodniczący sędzia

kazał przed sobą postawić Salamandrę.

Tenże wstał i poważnie poszedł przed stół, na którym stał krucyfiks.

— Czy masz co do powiedzenia na swoją obronę? — zapytał sędzia.

— Nie! — odparł jędrnie i sucho Maciej, mimo, iż mu jego obrońca coś gwałtownie podszeptywał.

Sędzia przypatrywał się bystro chłopu, który wzroku swego nie spuszczał.

— No przecież — znów się odezwał — służy ci prawo bronienia się, przytoczenia okoliczności, które by winę twoją złagodziły.

— Niech najwyższy sąd sędzi! — odezwał się Maciej.

Sędzia obrócił się do swych towarzyszków. Poszeptali coś chwilę i znów odwracając się do oskarżonego, zapytał.

— Może byłeś pijany? Świadkowie zeznali, żeś pił dużo na jarmarku w Murlasie...

— Piłem — podchwycił Maciej — ale gdy przyjechałem na "Pociechę", to już mi całkiem gorzałka wyszumiała.

— Może cię Gorzeń — zaczął znów po chwili sędzia — na jarmarku lub kiedy obraził?

— Nie.

— Może z dawnych czasów czujesz do niego urazę?

— Nie; a cóżbym za pozwoleniem najwyższego sądu miał złość do takiego... ? i nie!

— O Gorzeniu wszyscy dobrze mówią — wtrącił znów sędzia.

— Tu i o mnie to samo, a może lepiej, gromada poświadczy — odezwał się Maciej, a oczy jego dziko zabłyszczały.

Sędzia umilkł. Zaczął znów radzić z towarzyszami cicho i dość długo, poczem jeszcze zapytał.

— A może nam powiecie, co znaczy to spiriuo, o które z rozprawy się wydaje, że ci chodzi, przecież świadkowie zeznali, że to słowo zawsze cię wyjątkowo drażniło. Co to słowo znaczy?

Salamandra się zamyślił.

— Gorzeń wiedział — odparł — że ja tego słowa przecierpieć nie mogę.

— Ale co ono znaczy? Chłop znów się zamyślił.

— No mówcież.

— To słowo znaczy, że on chciałby przewodzić nademną.

— Jakto? Salamandra milczał.

— Pytam się was, co znaczy to spirtuo? — powtórzył sędzia.

— Wielmożny sędzie — odparł Maciej — jeśli wielmożny sędzia nie wie, to zkadże ja bym wiedział; ot... słowo...

Więcej nic mówić nie chciał.

Sąd wydał wyrok skazujący Macieja Salamandrę na rok ciężkiego więzienia i zapłatę dwustu rubli Gorzeniowi.

Maciej jęknął tylko, gdy usłyszał wyrok, opuścił głowę i ruszył z miejsca, rzucając jeszcze jedno straszne wejrzenie w stronę Gorzenia.

Zbladł i zachwiał się, bo mu się wydało, że Jantek cicho, uśmiechając się szydersko, jak to miał zwyczaj, wargami szepcze.

— Spir-tuo.

V.

Minęło lat dziesięć znowu, w których nic się w Rozdołach nie zmieniło. Wszystko szło swoim trybem z dnia na dzień, z tygodnia na tydzień, z roku na

rok, i czas uciekał, jak gdyby go kto gonił, stwierdzali sami gospodarze

Rozdolscy.

Po wiosnie przychodziło lato, po lecie jesień, potem zima i znów wiosna i to wszystko tak prędko, jak prędko po śniadaniu dawał się słyszeć dzwonek, oznajmiający południe, z topoli we dworze, a jak prędko znów po nim paski dymów unoszących się we wsi z kominów ku niebu, zwiastowały wieczerzę.

Ten rok, niby tak długi, a nie wydawał się Rozdolakom dłuższym od czasu, jaki upływał między jednym dzwonkiem z dzwonnicy kościołka a drugim — choć stary dziad, Hilary, dzwonił tylko na nabożeństwa i śmierci.

Ta "rażność" czasu zawsze była ulubionym przedmiotem rozmowy chłopów, gdy ich niedziela zgromadziła w starej murowanej karczynie.

Tutaj oni od lat się schodzili wieczorem raz na tydzień, by omówić sprawy wsi i zakomunikować sobie ważne wiadomości, usłyszane we dworze, czy w miasteczku, u wójta, czy u "jegomościa".

A gdy te gawędy się wyczerpały, to zgromadzenie się ożywiało i zaczynało radzić nad nieobecnyimi. Nieobecnyimi zaś zawsze byli Gorzeń i Salamandra, którzy nie zachodzili nigdy do karczyny, bojąc się wzajemnie spotkać. Nie ten jednak tylko względ wstrzymywał ich od szukania rozrywki w towarzystwie sąsiadów. Salamandra przez dziesięć lat nie mógł się pozbyć wstydu, że siedział rok w kryminale, a Gorzeń przez dziesięć lat nie mógł się przyzwyczaić do myśli,

że on był powodem, iż poważny gospodarz Rozdolski siedział z jego powództwa w więzieniu.

Nie chodzili więc do karczyny, a chłopci o nich najchętniej radzili. Bo i solą w oku im byli ci gospodarze, co nietylko sobie pobudowali strojne chałupy i nietylko sadzili się na dorodne konie i żelazno-osie wozy, ale nadto z roku na rok się wzmagali i dobytek pomnażali.

Tej też niedzieli nad tem w karczynie radzono. To ten, to ów dodawał coś do komentarzy. Jeden udowodniał, że nigdzie takiego owsa nie bywa jak u Gorzenia, a drugi twierdził, że Salamadry owies w słomę mniej obfity, w ziarno bywa bogatszy.

Do północy przeciągały się te sesye nad dwoma nieprzyjaciołmi, a niedzieli tej były one więcej ożywione i głośniejsze, bo jeden z gospodarzy, który sobie najwięcej podchmielił, chciał koniecznie do dna zbadać tę zawiłą, powodzenia Salamadry i Gorzenia, kwestyę.

— To wszystko furda! mówię wam kumy fuurda! ale powiedzcie przecie ino — powtarzał on co chwila — powiedzcie ino tak na wyrozumienie... ale na sumiee... nie! przez jakie przyczyny u Gorzenia i u Spirituo wszystko się mnoży i wiedzie i święta ziemia rodzi, oj! bo rodzi. Tak i my robimy i przewracamy tę świętą ziemię, a.....na sumienie powiedzcie, przez jakie przyczyny?

Na te słowa, chłopci znów się zastanawiali. Ci, co już mieli wychodzić, wracali od progu i brali udział

w dyspucie, która, gdy się wyczerpała, znów ich chłop zachęcał do dalszych libacy i dociekań.

— To fuurda! ale na sumienie nie rozchodźwa się póty, póki nie uradziwa co to ma za znaczenie, że ten Spirituo i Gorzeń, psie-wiary... na sumieeenie kumy.

I kumy znów obsiadali ławy, zapalali fajki, nalewali kieliszki i radzili.

Ale dnia tego, śnać i Jankłowi drzemiacemu za szynkwasem, sprzykrzyły się te przedłużone konferencye, bo powstał ze stołka, ziewnął tak głośno, że przygłuszył wszystkich, i zaczął.

— Herste, herste? jacy wy, za pozwoleniem, jesteście chamy, moi gospodarze, że wy waszymi rozumy nie możecie zmiarkować, dla czego im się lepiej dzieje, niż wam.

Ucichło w karczynie; wszyscy słuchali Jankła, a ten poziewając, prawil.

— Co w tem dziwnego? Tu niema żadnej dziwoty. Jeden przez drugiego się sadzi i ot po wszystkimu. Jeden chce nad drugiego; jeden ino patrzy, co drugi robi, ot!

i po wszystkim. Tak w roku... Spirtuo zasiał jęczmień przed wielkinocą, to już tej wiosny Gorzeń zasiał te kosiki w wielki czwartek. Patrzyta a nie widzita! Gorzeń wypasł wieprza, co mu zgony dały siedemdziesiąt rubliiii, to już Spirtuo ma takiego, jak mi Bóg miły, co tyli, jak moja szkapina. A wy radzicie i radzicie, a tu jeden przez drugiego: ja wam mówię.

Jankiel ziewnął i urwał, a chłopci milczeli Zastanawiając się nad jego słowami.

— I wy tego nie widzita — ciągnął dalej Jankiel zachęcony milczeniem, które słusznie uważał za potakiwanie. — Czyście ślepi, czy co, że wy tego nie widzita? tać to tak jaasne jak ten miesiąc, co świeci. Gorzeń miał pięcioro czeladzi, tać i Spirtuo się postarał i baba już w czwartym miesiącu... I un będzie miał, co mi za sztuka? herszte?

Ten argument ostatecznie przekonał chłopów, bo najgadatliwszy z nich powstał i zawołał, wyciągając dłoń do Jankla.

— Na sumieeee... nie! Janklu macie racya! to jeden przez drugiego... na sumieenie!

Żyd uderzył w wyciągniętą dłoń i dodał jeszcze.

— A wy radzita i radzita, aż bebechy bołą!

— A tu jeden przez drugiego! — odparł chłop.

— Jedeeeen przeez drugieego! — odezwało się kilka głosów.

— Tak, a nie inaczej, jedeen przez drugieego! — powtórzyli wszyscy jednogłośnie i ruszyli ku drzwiom.

Ale na gościńcu jeszcze przystanęli i byliby wrócili do karczmy, gdyby Jankiel już drzwi nie był zamknął. Gadatliwy chłop bowiem zatrzymał ich i znów zastanowił.

— To dobrze! na sumieenie dobrze! ale powiedźcie kumy, czy Gorzeń przez Spirtuo, czy Spirtuo przez Gorzenia? na sumienie!

Wreszcie się rozeszli jak cienie jakie po wsi, głęboko zadumani, z rękami w rękawach od sukman, szeptaając pod nosem, niewyraźne zdania, w których tylko głośniejsz brzmiało — Spirrrtuo.... ha... psiawiara...

Spirtuo bowiem będąc zwyczajnym nazwiskiem Salamandry, było i uświęcającym się zwyczajem, zaklęciem Rozdolskich gospodarzy, ile razy sobie podochocili.

VI.

Rozdołów by już nikt nie poznał, z tych, którzy je zapamiętali z czasów, gdy Maciek i Jantek usługiwali do mszy dawno zmarłemu księdzu Cypryanowi. Na jego grobie już cztery brzozy płakały swemi ruchliwemi Usteczkami u zwieszonych gałązek.

Rozdołów by już nikt nie poznał, nietylko z powodu tych czterech brzóz, zdala miejsce wiecznego spoczynku wskazujących. W Rozdołach, tam gdzie dawniej wśród kępy starych lip widniały cztery białe kominy długiego modrzewiowego dworu, teraz migotały do słońca wysokie mury, srebrną blachą kryte, wspaniałego pałacu, strzelającego wieżycą po nad wierzchołki lip i topól i rozglądającego się dumnie i pysznie po szerokiej równinie przez duże i poważne okna.

Chałupę Salamandry zakryły gęsto od gościńca wierzby i czereśnie, jakby chciały, po życzliwym sąsiedztwie, zakryć ślady zębem czasu na niej wyrte. Pochyliła się biedaczka, ustępując mroźnym północnym wiatrom, wsiąkla w ziemię, bo rozsypała się jej podmurówka, a mech grubą skorupą przykrył jej słomiany dach, jakby jaką staruszkę.

Ale mimo to jeszcze górowała we wsi swym białym i foremnym kominem, który po nad

czereśnie i jabłunki z góry zdawał się spoglądać na swego niekształtnego, z dachu Gorzenia wyzierającego kolegę.
Lata tyle zmieniły, ale nie zdołały w Rozdołach odebrać pierwszeństwa chałupom dwóch zaciętych na siebie sąsiadów.
Czy też oni jeszcze żyli?
W chacie swej na ławie przy oknie siedział stary Maciej Salamandra. Włosy jego siwe spadały mu na pochylone barki, a zamglone oczy ciekawie wyzierały przez szyby okna.
Zdawał się czekać na kogoś, czy śledzić coś na gościńcu, bo wzrok jego choć przygasły, zdradzał resztki tej siły, która go długo nie opuszczała.
A czasem zbliżał głowę do szyb i spoglądał w bok ku Gorzenia chacie, widocznej przez otwór w czereśniach, któremu Maciej własnoręcznie zarastać nigdy nie pozwalał.
On czegoś ztamtąd wyczekiwał, czy też czegoś tam był ciekawym.

— Babo! — odezwał się nagle, starym i bezdźwięcznym głosem — toć ty słyszała przecie, co ksiądz w kościele tej niedzieli z ambony głosił?
Z za pieca odparł mu chrypliwy głos kobiety.
— A dyć słyszałam, ale o cóż ci stary chodzi?
— Dyć — pochwycił Salamandra — ksiądz mówił, czy mi się przywidziało, żeby najdalej do czwartku każdy przyniósł, co na nowy kościół ofiaruje.
— A dyć tak, a nie inaczej — odparł głos z za pieca — i jegomość się miotał, żeście nic-potem i zwlekacie, a mury stoją...
Baba urwała, a Maciej się zamyślił i w okno spojrzął, ciężko wzdychając.
Po chwili znów się odezwał głos z za pieca.
— Ja myślała, żeś ty stary już poniósł. Dyć gospodarze już poskładali, a wczoraj i zawczora... to siła ich, widziałam, szło od plebanii, a ty stary, tak się zapóźniłeś jakby jaki chłystek.
Maciej w odpowiedzi ciężko westchnął, jakby już jego stare piersi z trudnością się wznosiły, i zamilkł.
— A dzisiaj chyba czwartek? — zapytał po długiej przerwie.
— A cóżeś myślał?
Stary chłop znów westchnął i jeszcze lepiej przysunął się do okna i jeszcze więcej skreślił głowę w stronę chałupy Gorzenia.
— Zobaczymy... — mruczał — kto kogo przetrzyma.

Nastało długie milczenie, przerywane tylko westchnieniami to Salamandry, to jego żony?

— Babo! — odezwał się chłop, nie odwracając się już od okna — ta pono ksiądz z ambony będzie ogłaszał, co który z gospodarzy na nowy kościół ofiarował. Dyć tak kazał tej niedzieli?

— Dyć tak, a nie inaczej... — odezwała się Madejowa, ciągnąc dalej — stary! staary!

— A co?

— Myślałam, is zasnął... dyć idź! a wstydu nie zrób bo jakby jegomość ogłosił, że jaki dał więcej od ciebie...

— To i cóż?

— Ty już wiesz!

— Znów zapanowało milczenie, które i tym razem po wielu westchnieniach przerwał chłop.

— Babo?

— A co nudzisz jak zmora?

— Nie widziałaś ty, czy Gorzeń nie chodził na plebania?

Kobieta długo kazała czekać na odpowiedź wreszcie odezwała się.

— O Jezu Marya! dyć ty już chyba nie zembrzesz przed Gorzeniem....

Salamandra milczał, więc baba dodała:

— Dyc nie widziałam, ale...
— Ale co? gadaj ta!
— Ale... przepomniałam już, co miałam na języku.

W tem drzwi się otworzyły i wszedł niemi barczysty, wyrosły chłop, jak dwie krople wody podobny do Macieja, tylko młody i czerstwy, bo nie wyglądał na więcej jak trzydzieści lat wieku.

— Ojczy! — odezwał się zaraz przyciszonym głosem, a oczy jego dziwnie błyszcząły — ojczy?

— Co?

Chłop przybliżył się do Macieja, który się do niego odwrócił. Uśmiechnął się podstępnie i sprytnie i mówił,

— Stara psiamać Gorzeń co ino wrócił z plebanii.

Salamadra splunął i podchwycił.

— Gadasz, toć od ranka siedzę i patrzę.

— Stara psiamać nie głupi, tyłami... przez pola, koło łąki i przez podwórko co ino wrócił. Orałem na klinach i widziałem, choć się stary jak lis rozglądał, czy go kto nie zoczy. Cocisikś słonko jeszcze nie dopieka, to wróciłem z pola, aby wam powiedzieć...

— Nie doczekanie twoje! — zamruczał przez zęby Maciej, wstając z ławy — toć i postawiłem na swoim.

Ciężkim krokiem podszedł do skrzyni, podniósł jej wieko i wyjął z niej grubą plikę owiniętą w szmatę.

Uchwycił za laskę, nasadził na głowę wysoką czapę, opasał się szerokim rzemieniem i zmierzał ku drzwiom.

— A siła bierzecie? — zapytał syn, zastępując mu drogę.

Maciej przystanął.

— To się zobaczy! — mruknął i wyszedł.

VII.

Maciej szedł prosto gościńcem ku plebanii. Głowę opuścił na piersi, a laskę naprzód stawiał i opierał na niej swój wyniosły, choć zgarbiony kadłub, wreszcie wygramolił się na górę dobrze sobie znaną ścieżką, prowadzącą krótszą drogą do kościoła.

Na pagórku wśród rozrostłych, bzów przystanął i zamyślił się; jakby nad jakimś wspomnieniem, bo długo stał nieruchomy z oczami wlepionymi w ziemię.

— Spirtuo... spirtuo... — mruknął cichuteńko, splunął i ruszył dalej,

Jeszcze przystanął na placu, gdzie się wznosiły mury z czerwonej cegły i chwilę im się przypatrywał, kiwając głową.

— Albo to stary kościół był zły, czy się walił? czy co? pfu.... ot innowacje...

Uchwycił z powierzchni muru gruzką wapna startł go w palcach i szepnął.

— Partacze bestyje... wapna nie zlasują a grosz zapracowany biorą.

Jeszcze raz splunął i ruszył prosto ku tuż stojącej plebanii.

Uchylił drzwi, wszedł do sieni, uchylił drugie drzwi i znalazł się w pokoju, w którym przy stole siedział młody ksiądz.

— Niech będzie pochwalony! — zawołał swym zachrypłym głosem, kłaniając się do ziemi.

— Jak się macie, odparł duchowny, przypatrując się z ciekawością wiekowemu gościowi — przynosicie na kościół, mój gospodarzu? czy...

— A jużcić, że na dom boży — podchwycił Maciej, zakładając prawą rękę za pas. Ksiądz uchwycił jakieś papiery na stole leżące, rozwinął je przed sobą i biorąc pióro do ręki, zagadnął.

— A ileż ofiarujecie?

Maciej się zamyślił, poskrobał w głowę, westchnął, pomruczał, zbliżył się do stołu i wreszcie odparł pytająco.

— A proszę Jegomością... — tu się uklonił i dodał — siła też dał stary Gorzeć? Ksiądz zaszeleścił papierem i zaraz odpowiedział.

— O! Gorzeń, porządny gospodarz! Gorzeń, ha! żeby takich więcej było... Salamandra bladł i marszczył czoło, a ksiądz dalej mówił.

— Żeby takich więcej było, toby słota murów nie psuła i nie odprawiałbym mszy świętej pod lipami na stole. — Gorzeń, moi kochani, dał trzysta rubli. O! pochwałę go z ambony.

Maciej opuścił głowę, by ukryć może wyraz swego oblicza, zamyślił się i długo stał nieruchomy,

a ksiądz przyglądał się ciekawie starcowi, który nań robił wrażenie zniechęconego.

Nagle chłop westchnął ciężko, długo i ocknął się. Odwrócił się trochę do ściany, jakby się bał być widzianym w tem, co zamierzał zrobić i wyjął z za sukmany zawiniątko. Długo przebierał i przewracał w papierkach, wydających szelest banknotów, wreszcie szmaty schował za sukmanę, a zbliżając się jeszcze do stołu, położył na nim cztery sto rublowe papierki. Westchnął i ozwał się.

— Dyc i ja, pobożna owieczka, czterysta... niech jegomość przeliczy...

Ksiądz biorąc pieniądze przypatrywał się z najwyższym zdziwieniem chłopu, po chwili nachylił się nad papierem, chciał coś zapisać, znów spojrzał na Macieja.

— Mój gospodarzu! — odezwał się — jak wiecie, ja tu od niedawna waszym pasterzem...

— Dyc wiadomo...

— Otóż ja was albo nie znam, albo sobie przypomnieć nie mogę.

— Nie dziwota! człowiek w latach, i na nabożeństwo nie zawsze się wygramoli, a to... góra...

— Jakże się nazywacie?

— Maciej Salamandra!

— Zkąd — zapytał coraz bardziej zdziwiony ksiądz.

— Z Rozdołów! Salamadry Jegomość nie zna? — podchwycił chłop, spoglądając ze zdziwieniem na księdza.

— Doprawdy, nie wiedziałem, że jest w Rozdołach gospodarz Salamandra, a zdawało mi się, że znam wszystkich — mówił zafrasowany pleban — chyba dzieci nie macie.

— Oj, Boże, mam ich pięćoro!

— Pięćoro! — podchwycił ksiądz, mrużąc — jakże ja mogłem nie wiedzieć o takim gospodarzu? A gdzie wasza chałupa?

Maciej podniósł głowę, spojrzał w okno i wskazując ręką odparł,

— Ztąd widać, nad gościńcem... komin bieleje po nad całą wsią i jegomość nie wiedział...

Uśmiechnął się, ale na krótko, bo proboszcz uradowany zawołał.

— To wasza chałupa? toż przecież myślałem, że to Spirtua, to wy Spirtuo? Maciej Spirtuo?

Chłop zatrząsł się, zbladł, obie ręce za pas założył i opuścił głowę, marszcząc brwi. Milczał.

— A więc wy Spirtuo? — zapytał jeszcze duchowny.

Starzec westchnął i uklonił się nisko.

— Niech będzie pochwalony! — wyrzekł i zmierzzył ku drzwiom.

Wyszedł i stawiając naprzód łaskę, śpieszył do domu.

Ale w połowie drogi, musiał zwolnić kroku, bo mu się ciężko robiło na piersi, bo

nogi mu dygotały, bo go coś ścikało za gardło.

Szedł wolno, ostrożnie, jak gdyby się bał nie upaść na gościńcu, a przez zęby, zaledwie poruszając wargami, szeptał.

— Spirtuo! i Spirtuo... na wieki Spirtuo, taka wola Boża... coś nie wiem... czy się dowlokę?..

Przystanął, odpoczął, rozejrzał się do koła błędnym wzrokiem i ruszając dalej, mruknął machając pogardliwie ręką.

— Co mi tam!... ot święta ziemia się już roztwiera dla... Spirtuo!... ha!...

Spirtuo! niech i tak... będzieale co górą, to górę Spirtuo.....żeby choć do niedzieli dokawenczyć..... Spirtuo... ha?

GLUCHY MICHAŁ.

I.

Głuchy Michał liczył trzydziesty rok życia, gdy mu bieda tak w Rozdołach dokuczyla, że postanowił porzucić łaskawy chleb gromady, a wyszukać sobie jaką choćby najkrwawszą służbę.

Pewnego też wiosennego poranka, z tem silnem postanowieniem w głowie obudził się w oborze sołtysa Salamandry, który mu dawał nocleg w zamian za różne małe posługi.

Głuchy Michał bowiem nosił czasem papiery do kancelaryi gminnej, gdy sołtys miał pilne roboty w domu około roli.

Przetarł oczy, zerwał się z barłogu leżącego między ścianą, a krową "Mordulą" i wybiegł do drzwi, na których progu stanął.

Słońce dopiero co wysłało na świat swoje pierwsze blaski, zaświeciło brylantowym błyskiem rosy na polach i łąkach, ozłociło chmury i w kłos rozwijające się jęczmiona.

— Śliczny dzionek! — zamruczał Michał, zarzucając na siebie starą sukmanę. Nałożył na głowę słomiany kapelusz i pobiegł lekki jak pióro ku strumykowi, który po pod zagrodą, Gorzenia, wśród kilku brzózek wpadał do rzeczki.

Nikogo w drodze nie spotkał, bo jeszcze chłopci się nie ruszyli. On tylko wstawał zawsze najwcześniej, a dnia tego jeszcze wcześniej niż kiedykolwiek, bo głowę miał nabitą projektami tlejącymi w niej od lat, ale które teraz dopiero do skutku doprowadzić postanowił.

Chłopi w Rozdołach nie dawali mu dobrego słowa, nazywali go głuchym Michałem, choć wcale głuchym nie był, jak stary Fedko Bazarnik lub Stypulina.

Niedosłyszał wprawdzie na lewe ucho, od czasu, kiedy dzieckiem będąc wpadł był w osuszoną studnię, ale nie był głuchym.

— Głuchy Michał! ciewy? — idąc nagle zamruczał i przystanął. Oparł się o płot, za którym rumieniły się jak panny młode, czereśnie, wiśnie i zadumał się.

— Co on miał na wsi robić, i żyć z łaski, i żebrać strawy i odzienia, gdy nadchodziły śniegi i mrozy? Albo to on nie miał rąk zdatnych do pracy, które podnosiły wóz w drabinach u sołtysa, gdy go chciał nasmarować, jadąc na jarmark? Albo to on nie miał nóg zdrowych, co chyżej biegały po pastwisku niż "bułany" Gorzenia, gdy się rozbrykał i prosto w szkodę, lub w pańskie niwy pędził?

Bardzo się zasepił i zamyślił, bo zapuszczając biedny wzrok w dal, ku niwom i poloni stał nieruchomy, dłubiąc tylko palcami w nosie i wzdychając od czasu do

czasu.

— Co on miał na wsi? — myślał — żałowali mu mleka, wyrzucali mu chleb, który darmo jadł, poniewierali nim, jak jakim najdą, a on najdą, ani cyganem przecież nie był. Ojciec jego miał zagrodę w Rozdołach, a matula, co go dzieckiem odumarła, z dawności z ojców i dziadów Rozdolska była. A wczoraj parobek od Iwaniaka nawymyślał mu pod karczmą, do bicia się czepił, a gospodarze ino się śmiali.

Głuchy Michał otrząsł się. Przeleciała mu przez głowę jakaś myśl, jak błyskawica, bo uśmiechał się do niej i poskrobał w głowę tak, że aż kapelusz mu z niej zleciał.

Me podnosił go, tylko się zamyślił.

"Wczoraj słyszał, że we dworze chłopak od stadniny uciekł. Dwór ciągle miał kłopot z tą stadniną, bo to w niej konie były już, a nie łoszaki, bestyje jak hamany, szkodne i uparte. Nikt nie chciał, żeby go tam ze skóry darto, iść do stadniny na pastuchy. Była to krwawa praca pilnować tych konisk, aby się nie rozbrykały i nie poleciały "światami". Albo też zganiać je z pastwiska i zastępować drogę, gdy źrebiec jaki zbaczał z wygonu. A co trzeba było nahajek wycierpieć od polowego, gdy bestyja która wlaźła w pszenicę. A ekonom ile razy plecy wygarbował,

gdy się w polu zaspalo, a konie się porozchodziły kiej by robactwo, za pozwoleniem, w kozuchu.

Tak myślał Michał i stał. A słońce coraz wyżej się wznosiło, ptaki coraz głośniej świergotały i z chałup wysuwały się powoli krowy, dążące na pastwisko.

— Michał! głuchy! niezdar! co stoisz? ot lepiej byś mi zagnał chudobę do strumienia — odezwał się donośny głos z za płota i obudził chłopca z zadumy.

Zerwał się, poznał głos skąpej Woźniakowej, podniósł kapelusz i odparł:

— Zaganiajcie sobie sami! Co człowieka napastujecie? nie macie nóg czy co?

— A ty najdo jeden! ty zbierzniuku! ty zbóju ty... wołał głos baby z za płota, wzburzonej hardą, odpowiedzią Michała.

Ale on już szedł dalej i zdawał się nie słyszeć całej gadaniny.

— Go będzie, to będzie! mruczał tylko pod nosem i przyspieszał kroku.

Na jego młodej twarzy, opalonej promieniami słońca, ozdobionej długimi złotoblond włosami, malowała się decyzją.

I w ruchach jego można było ją odgadnąć, bo Michał tak zamaszyste walił kroki, że w dal odbijało się kłopotanie jego bosych nóg o wydeptaną ścieżkę.

Nad strumykiem stanął i rozejrzał się po łąkach, na których już paradował bocian, szukający żabki dla swej samicy, co siedziała w gnieździe na jajach.

Zastanowił on głuchego Michała, bo mu się długo przyglądał, a wreszcie zaśmiał się serdecznie i na całe gardło wołając:

— A to bestyja! jak to temi nogami sztychuje. a dziobem sobie dopomaga. Co to pan Bóg wydziwia? takich sobie tworzyć, ha — ha — ha, kiedy dziedzic jaki czy ekonom!

Obmył się w strumyku i krokiem pośpiesznym podążył wprost ku dworowi.

— Co będzie to będzie! — mruczał — przystanę do stadniny. Niech dziedzic nademną przewodzi, a nie caluśka gromada. Pałki, czy nahajką? Albo mi to jakie nowości, małom ich się nabrał? ho! ho! Człek zarobi na buty i sukmaninę ...

Głuchy Michał! ciewy?

II.

Tegoż samego dnia jeszcze głuchy Michał zgodził się we dworze i pasł stadninę aż do zachodu słońca.

A pod noc tak się uczuł zmęczonym, jak nigdy.

To też, gdy legł na słomie razem z stajennymi, nic nie uważał na ich śmiechy, uwagi i kpiny.
Mało ich nawet dosłyszał; ale wiedział tylko, że zboreźnik! z niego drwiły.

Michał bowiem, chłop już silny i nie lekki, zabawnie wyglądał, gdy zaganiał źrebięta i irytował się na ręczniejsze konie.
Usnął wśród gwaru w ciemnej stajni i spał kamieniem do pierwszego brzasku.
Mimo to, iż zwykle bardzo wczesną się budził, nazajutrz rano, przecierając oczy ze zdziwieniem spostrzegł, że w stajni go uprzedzono.
Ten i ów się już wokoło koni kręcił, a inni ziewali i przeciągali członki.
Nagle Michałowi zdawało się, że go ktoś woła. Zerwał się na posłaniu i słucał.
Wyraźnie pod stajnią, za zamkniętymi wrotami odezwał się powtórnie głos dziwny:
— Mi-cho! Mi-cho!
Parobek podniósł się w okamgnieniu i zawołał z przerażeniem:
— Kiejby kto wołał!
Śmiech zabrzmiał w stajni. Jedni śmieli się cichaczem inni głośno, a największy psotnik i najstarszy z chłopaków, pomocnik furmana, Antek, odezwał się:
— A jużcić! wołają was ekunom czy rządca może. No biegnijcie!
Michał już skierował swe kroki ku drzwiom, z po za których głos dochodził, gdy go śmiechy chłopaków zastanowiły.
— Cóż to się śmieje? — zapytał zdetonowany. Ale równocześnie odezwał się znów głos tym razem wyraźniejszy i jeszcze jakby bliższy:

— Mi-cho! Mi-cho!
Parobek, nie namyślając się dłużej, odrygiował drzwi i wybiegł, słysząc za sobą wesole śmiechy.
Rozejrzał się dokoła. Nie było nikogo. Dopiero się rozjaśniało.
Słońce obrzucało strumieniami światła i blasków zielone klomby drzew i białe mury dworu.
Był to nowy dla Michała widok, zastanowił go też.
Wschód słońca w tym, ręką ludzką utrzymywanym ogrodzie, inne robił wrażenie, niż na wsi, wśród pól i dziczy.
W kłębach drzewa, odcieniami swej zieleni dobrane, uśmiechały się różnymi tonami do słońca, a rosa na liściach robiła wrażenie posiewu drobnych brylantów.
Nad dużym stawem wznosiła się mgła do góry i rozjaśniała dalsze tło obrazu.
Chłop zachwycony tym widokiem stał chwilę w drzwiach od stajni nieruchomy, ale nie długo, bo tuż nad nim zabrzmiało jeszcze donośniejsze dwukrotne wołanie:
Mi-cho! Mi-choo!
Parobek podniósł głowę i otworzył szeroko usta.
Na rosochatej wierzbie, zachodzącej jednym konarem na dach stajni, trzepotała skrzydłami pawica.
Michał zaczął się jej przyglądać, pierwszy raz w życiu widział takiego ptaka z białą główką i takim zabawnym czubem.

— Toż to także bestyja! — zamruczał i przyglądał się jej szarawym piórom.
A chłopaki wybiegły z bramy i stanęły za nim.
— Któż was wołał Michale? — huknął nad nim jeszcze Antek.
— A jużcić — odparł parobek — dwa razy wołał, a nikogosik nie widać.
I zakłopotany poskrobał się w głowę i rozglądał na prawo i lewo, ale żywej duszy widać nie było.
W tem znów zabrzmiało tuż nad nim.
Micho!
Chłop ogłupiały, podniósł rażno głowę, a pawica, wyciągając swoją cienką szyję, kończyła:

Michoo!

— Czy lichy jakieś, czy co? — zawołał Michał wściekły — toż to ta bestyja tak się darła, a żeby cie...

Klął dalej, wracając do stajni, zażenowany, zły, jak wszyscy djabli, sam z siebie się śmiejąc. A chłopaki kładły się od śmiechu.

— Głuchy Michał! głuchy Michał! — wołano. A chłop zawstydzony zawołał:

— Cóż się śmiejeta? zbereźniki! toż każdegooby ta bestyja oszukała, komuby Michał było na przewisko.

A Antek dodawał:

— Wiecie co Michale? toż wam teraz żawdy trzeba będzie wartować, bo nie pomiarkujecie, czy was dziedzić czy pawica wołają.

W stajni śmiano się do rozpuku, a zły i zafrasowany Michał zabierał się do rannego oprzętu.

Gdy chłopaki i inni poszli do czeladnej kuchni na śniadanie, Michał pozostał w stajni.

A gdy się przekonał, że nikt go już podejrzyc nie może, bo nikogo w budynku nie było, wyszedł do bramy i rzucił oczami na wierzbę.

Ale na wierzbie było pusto.

Rozejrzał się dokoła.

Pawica siedziała na płocie, Michał zaś usiadł na progu i długo się jej przyglądał.

— Kiejby teraz bestyja chciała jeszcze się zadrzyć — mrucał. Ale pawica już przywitała słońce, spokojnie sobie siedziała, zaglądając dziobem między skrzydła i upatrując robaczków na ziemi.

Michał wstał, podszedł ku niej i obchodził ją dokoła, i w nosie dłubał, i dumał.

Ciewy! ciewy! — mrucał — nie gęś, nie indyk... ptak sobie, a drze się jak kiejby Gorzeniowa, gdy chce bym jej drev urąbał... Dziwota...

Powrócił do stajni, wyjął ze swej sukmany, która mu służyła za poduszkę, kawał razowego chleba i z nim powrócił do pawicy.

Ta już zesza, z płotu i chodziła kiwając głową po trawniku. Widząc, że Michał je, podesza ku niemu.

Chłop co drugi kęs jej rzucał i mrucał tylko.

— No zadrzyj-że się bestyjo!

Pawica gdakała tylko do chleba, ale się już odezwać nie chciała. Odtąd największa zapanowała przyjaźń między Michałem a pawica.

Skoro tylko ta odezwała się do pierwszych promieni wschodzącego za gajami słońca, Michał się budził i zrywał — choć już wiedział, że to nie ekonom, ani rządca, tylko pawica woła.

Dzielił się z nią chlebem i serem, gdy go dostał; szukał jej, gdy się czasem na ucztę spóźniała. A gdy go nikt nie słyszał, a ptak mu się gdzie zapodział, to wołał:

— Pawiu... pawiu... pawiu...

W stajni śmiano się z niego, i' drwiono z jego pomyłki, ile razy pawica w dzień, czając deszcz, zawołała.

Ale "głuchy Michał" nic sobie z tego nie robił. Jemu się zdawało, że pawica jakoś inaczej, przyjemniej, czulej, żałośniej niż ludzie, wymawiała jego przewisko.

A czasem, to i pawica, zapomniana nadzwyczajnym wypadkiem przez chłopą, podchodziła pod stajnię i krzyczała:

— Mi-choo!

Wtedy Michał wybiegał z przygotowanym już chlebem i mrucał:

— Ot... ptaszyna, nie woła "głuchy Michał" a taj słyszę. Przyjaźń się utrwalała.

III.

Od niejakiego już czasu Michał spostrzegał pewną zmianę w zwyczajach i obyczajach pawicy.

Bardzo to go frasowało. Przemysliwał nad tem długo, gdy brzuchem do ziemi godzinami leżał na pastwisku pod miedzą przy bujnej pszenicy.

Stąd też i konie wpadły czasem w szkodę, a raz to tak się zamyślił nad faktem, iż pawica rano, nie czekając na śniadanie, gdzieś zniknęła, że gdyby się był w ostatniej chwili nie spostrzegł, cała stadnina byłaby przeszła Bozdolska granicę.

Utrapienie jego jednak dopiero większe przybrało rozmiary, gdy raz rano, nie usłyszawszy głosu pawicy, się obudził.

Wybiegł czempredzej ze stajni, słońce już dawno z za gór wyjrzało. Spojrzał na wierzbę, na której wietrzyk poruszał gałęziami rosochatego konara, ale pawica na niej nie siedziała, jak zwykle.

Zdziwiony dokoła rozejrzał się, ale nic widać ani słyszać nie było. Panowała cisza, która ziemia uroczyście wita swego pana.

Michał się zasepił, nadstawił prawego ucha, azali nie usłyszy gdzie "gdy... gdy..." pawicy, która gdakać miała zwyczaj, gdy go zobaczyła.

Nic! cicho dokoła.

Przypomniawszy sobie, że już wieczorem poprzedniego dnia nie zauważył przyjaciółki na gałęzi.

Zresztą nie pamiętał, bo wracał z kuchni w stanie rozdrażnienia, spowodowanym drwinami czeladzi, a o tej porze zwykle sprawdzał obecność pawicy na swoim miejscu.

— Może przepomniałem... — mruczał w rozpaczy. Obiegł ogród cały, zaglądał w krzaki i parzące pokrzywy, lecz nigdzie nie znalazł pawicy. Spotkał wprawdzie pawia samego, jak swą, długą szyją sięgał do porzeczek na krzaku, jednym okiem na niego zerkając, ale ten go nie obchodził.

Przygnębiony, zamyślony, z jakimś uczuciem troski, którego nie znał, powrócił cło stajni i wypędził w pole stadninę.

Po drodze spotkał starą kucharkę, jak niosła wodę ze studni.

— Nie widzieliście ta gdzie pawicy? — zapytał jej pokornie i na pozór obojętnie.

— Pawicy? — odpowiedziała baba przystając — Jakto! zczezła? a toż pewnie tak, jak tamtego roku ją psy zagryzły.

Michałowi aż w piersi serce zakolało, ale nie było czasu na zatrzymanie się, bo gniada żrebica już wymijała stado, a trudna z nią była sprawa, gdy się rozbrykała.

Michał też wołając, strzelił z bata, wskoczył na siwulę i pognał w pole.

Gdy wrócił na południe, nie zastał pawicy. Nie zastał jej też i wieczór, ani nazajutrz rano, ani przez całe dwa długie dni.

— Coś się z nią stało... ale wróci — mruczał, chowając dla niej w żłobie kawałki chleba i sera, i gryząc się tak, że mu wszystko obmierzło.

Coś mu wciąż brakowało, a południowe godziny w których zwykle leżał pod wierzbą i przypatrywał się pawicy, jak dokoła niego chodziła i szyją kręciła i gdakała, wydawały mu się strasznie długimi.

Z pola wracał tylko raźniej, niż zwykle, bo w nadziei, że zastanie czekającą nań pawicę.

— Przecież zginąć, bez śladu, na wieki nie mogła — myślał. — Aż trzeciego dnia, wróciwszy z kuchni, położył się pod wierzbą i myślał o swym frasunku.

W tem zdało mu się, że słyszy ciche:

— Gdy... gdy...

Zerwał się jak oparzony. Pawica nad nim stała i kręcąc głową to na prawo, to na lewo, ciekawie mu się przypatrywała.

Pawusia... pawusia moja... — zaszeptał Michał cichutko, bojąc się, by go kto nie podsłuchał i wyciągnął do niej swą żylastą rękę.

Gdy... — odpowiedziała mu tylko pawica i zwykłym swym ciekawym a trwożnym ruchem głowy, zajrzała w rozwartą dłoń Michała.

— Głodnaś moja biedna! — zawołał chłop, zerwał się i pobiegł do żłobu.

Całe zapasy wysypał przed przyjaciółką, a ta gdakaniem, jakby mu dziękując, łapczywie je pożerała.

Nagle nie dokończywszy przysmaków, minio nawoływań Michała, zaczęła się powoli oddalać i wkrótce w gęstwinie zachwaszczonego kłąbu zniknęła.

A Michał stał zadziwiony i mruzczał:

— Co się betysi stało? Jakiś zboreźnik musiał ją nastraszyć, czy co u licha!

I znów trzy dni nie było pawicy i znów się ni stąd, ni zowąd pojawiła.

Michał zachodził w głowę, coby to miało znaczyć.

A tak przywykł do jej rannego krzyku, do dzielenia się z nią chlebem i serem, do cichej poufnej z nią rozmowy, że mimo to, iż wiedział, że żyje, smutno mu było i tęskno.

Pawica nadto chudła, pióra jej traciły połysk, szyja się wyciągała, główka z trzema piórkami malała, a oczy jej nabierały jakiegoś wyrazu zmęczenia i niepokoju.

Głuchy Michał zauważył nawet, że inaczej gdacze, jak gdyby z zaschłego i chorego gardła.

Nie zwierzył się nikomu ze swych smutków, ale postanowił rozjaśnić tajemnicę, jaką od pewnego czasu otoczyła się jego przyjaciółką.

Za pierwszym też razem, gdy pawica nie dokończywszy rozrzuconego przed nią chleba, w krzakach zniknęła, Michał podążył za nią.

Pawica szła powoli, wsuwając się po pod liście łopochów i między wybujałe pokrzywy, a Michał zdala,

śledząc każdy jej ruch, każde poruszenie się chwastów i krzaków, szedł za nią.

Zachodził w głowę, coby miał znaczyć ten pochód pawicy, jakby umyślnie przez najgęstsze zarośla, osty, i kolce.

Szła zygzakiem, jakby mu zmylić chciała pogoń, to przystawała i wyciągała szyję, trwożnie się rozglądając, czy jej kto nie śledzi.

Wtedy Michał zapierał oddech w piersi i wystawiał jedno oko tylko ponad trawy i łodygi roślin.

Wreszcie pawica wsunęła się pod gałęzie rozłożystego świerka, które leżały na ziemi i szpilkami swemi bronily do pnia drzewa przystępu.

Michał przystanął.

Wszystko ucichło, liście dalej się już nie poruszały, pawica widocznie pod świerkiem została.

Chłop jednym susem podskoczył, odsunął swa nieczułą na igły ręką odwieczną gałąź i stanął pod świerkiem.

— A szelmo! — zawołał i urwał.

Pawica siedziała, i wyciągając szyję i rzucając pełne trwogi na Michała wejrzenia, cicho szepnęła pełne przerażenia:

— Gdy... Michał sięgnął ręką do niej.

Pawica jednak do tej ręki tak przyzwyczajona, przeraźliwie krzyknęła, zerwała się i odsłoniła chłopu trzy jaja, w mchu misternie ułożone.

Michał osłupiał. Długo stał nieruchomy nad przyjaciółką, która powoli zajmowała nazad swe na jajach miejsce.

Wreszcie zamruczał rozrzuconym głosem.

— Toć to siedzi na jajach! mocny Boże!

I cicho, jak najtroskliwszy ojciec, odsunął gałęź i na palcach oddalił się od świerka, zupełnie inną drogą, aby zatrzeć wszelki ślad do ustronia swej przyjaciółki.

Odtąd Michałowi życie daleko milej płynęło, bo nie tylko, że wciąż myślał o tych stworzeniach, które z jaj wyjdą, ale nadto niecierpliwie czekał dnia tego.

Nie raz na pastwisku po kilkogodzinnej zadumie otrząsał się i mruczał.

— Jakże to to będzie? takie maleństwo? czy też temu odrazu takie piórka wyrosną na głowie? a czy też to odrazu będzie wołać: Micho! Dziwoty! dziwoty.

Nie zaglądał do pawicy, aby jej nie niepokoić, tylko codzień szerokim kołem obchodził świerk dokoła, azali niema na trawie śladów stóp ciekawego nieprzyjaciela.

A bał się szczególnie Antka.

— Ten Antek zbereźnik! gdyby wiedział!

IV.

Ale radość głuchego Michała nie miała granic, gdy pewnego dnia po długim oczekiwaniu, pawica zagdała pod stajnię.

Właśnie przygnał stadninę z pola i zagaśniał ją do właściwych przegród, gdy mu się coś tam zawidziało, jak gdyby słyszał "gdy,.. " pawicy.

A równocześnie mignęło mu coś żółto-szarego, w roztwartej bramie,

Opuszczając robotę, wybiegł z gwałtownie bijącym sercem.

Nie omylił się.

Pawica stała i wesoło do niego wynędniała główkę wyciągała, a w około niej trzy małe pod brzuchami żółtawe ptaszki szukały czegoś po ziemi.

— Oj rety! rety — zawołał! Michał, wybuchając śmiechem radości — toż bestyja wszystkie wysiedziała... dobra matka! toż to ciekawe ptaszyny... oj rety! rety!

I zamyślił się głęboko, stojąc nad rodziną przyjaciółki.

Pawica wyglądała dumna i szczęśliwa. Czytał to w jej trwożnym o małe, ale Szczęśliwym wejrzeniu.

Ile razy które z pawiątek odbiegało, zastępowała mu drogę i nawracała je do Michała, jakby pragnęła, aby je wszystkie dobrze obejrzał.

Chodziła pomiędzy niemi i od czasu do czasu odzywała się tylko:

— Gdy...

A pawiątka biegały, drobiąc kroczkami i piszczały, zdziwione tem nagłym powołaniem ich do życia.

— Pi... pi... pi — rozlegało się dokoła Michała, który widząc, że ptaszyny dzióbki otwierają, przykucnął i nadstawił prawego ucha, dopomagając sobie ręką.

Nagle radość znów okrasila jego oblicze i zawołał:

— Toż bestyje już gadają! oj rety! rety!

I biegnął po zapasy do żłobu i wydziwić się nie mógł, że pawiątka rzucały się na drobne okruszyny chleba, które matka im rozdrabiała.

Tak minęła godzina obiadowa i gdy chłop przyszedł do kuchni, nie zastał już w niej nikogo, prócz starej kucharki.

Długo się namyślał, aż wreszcie zagadnął.

— Wiecie co Leonardowo ?

— A co?

— Nie powiecie nikomu?

— A cóż takiego ?

— Ale nie wygadacie ?

— Cóżbym miała wygadać? albowiem to taka niepowstrzymana? Michał westchnął, a

kucharka rozdrażniona tem czekaniem zawołała:

— To gadajcie głośno, głuchy Michale! bo nic nie słyszę. Michał zniżył głosu i rzekł tajemniczo:

— Pawica wyszła z trzema pawiątkami. Kucharka spojrzała na niego, jak na warjata,

przystanąła, opuszczając rękę z warząchwą i wpatrywała się w chłopca.

— Toście mieli mi powiedzieć? — zapytała.

— A ino!

Baba poczerwieniła ze złości.

— A żeby was stary, głupi! głuchy! siarczyste pioruny, a żebyście nie dożyli, tak mnie zestrążyć i rozciekawić! Ot! głuchy! pawica mu wyszła? ciekawość mi co! A!.. niezdara! Ja tam mam czas słuchać o waszej pawicy! żeby was!

Kucharka, spodziewając się z przedmowy Michała jakiej ciekawej nowiny o ekonomie lub szafarce, nie mogła się uspokoić i dalej, na czym świat stoi, wymyślała Michałowi.

Ale ten niedługo jej słuchał, bo prędko zjadł obiad, pół porcyi swego grochu w szmatę zawinął i wybiegł z kuchni.

Gdy wrócił do stajni, nie zastał już pawicy: poszła w ogród: Widział ją jak za płotem od grząd warzywa zaganiała swe małe, ginące jej wśród główek kapusty.

— Michał, głuchy! — zabrzmiało na gumnie — a stadninę, wyganiaj!

Parobek się zerwał. To ekonom darł się na podwórzu na niego.

Jeszcze raz pożegnał tęsknym wzrokiem pawicę, wsiadł na siwą i pognął szerokim wygonem, aż ziemia dudniała.

— I jemu "głuchy Michał" — mrucał galopując na szkapie — głuchy, a słyszy, jak pawiątka pi... pi... Toż to ludziska niewyrozumiałe... tfu!

Ale dnia tego i następnych czas mu się na pastwisku strasznie długim wydawał.

Bał się o pawiątka i jak zmora trapiły go myśli, że zły człowiek może tam w ogrodzie krzywdę wyrządzić matce i maleństwu.

Aż coś go podrywało, gdy pomyślał, że tam jego przyjaciółka mogła być narażona na tysiące przykrości.

Ogrodnik wszakże mógł bryłał ziemi, wypędzając z grzęd pawicę, uśmiercić maleństwo.

A pies ten półchart, półwyżeł, mógł jak nic złapać i zdusić pawiątko.

A Antek zbereznik! jakże łatwo mógł złapać taką ptaszynę i znęcać się nad stworzeniem.

Aż łzy mu prawie w oczach stawały na te myśli. Szczególnie zaś trapił się o pawicę.

— Toż to matka — mrucał — biedula! cóżby ona poczęła, gdyby tak?...

I zrywał się z granicznego kopca, na którym siedząc doglądał koni, aby tylko rozpędzić złowrogie myśli.

Przypuszczenia jego były płonne. Pawiątka rosły, ale trzymały się chudo i mizernie.

Michał drżał o ich życie i zawodził tęskne żale nad pawicą, gdy go nikt nie słyszał.

Pawiątek skrzydła się strzępiły i nadół opuszczały, głos ich robił się żałosnym i piskliwym.

— Mój Boże! mój Boże! — wzdychał Michał! jakże to się wychowa?

Aż w południe zagadakała na chłopca pawica, bo to o tej porze przychodziła zawsze do niego na chleb i przysmaki.

Michał wybiegł i załamał ręce.

Okolo przyjaciółki biegały tylko dwa pawiątka; najbiedniejszego brakowało.

Wpatrzył się w oko pawicy i zdawało mu się, że w niem czytał żal i rezygnacją.
— Ha co robić! — zamruczał — taka wola Boża! Dwa pawiątka, z których jedno jeszcze szwankowało, żyły.

Ale nadeszły zimna i wody świętojańskie.

Pawica chowała się pod kapuściane liście i bujne krzaki porzeczek, i nie przychodziła nawet do Michała, bo tak deszcze lały bez przerwy.

— Dobra matka! — pocieszał się Michał — wychowa i ogrzeje. Słońce bowiem już przedzierało się przez rozsiane po horyzoncie chmury i pojawiały się na niebie różnobarwne tęcze, zwiastujące koniec słońca i niepogód.

A dwa pawiątka, jak się codziennie przekonywał Michał, żyły.

Wreszcie wypogodziło się. Wietrzyk rażno suszył zmoczone zboża i trawy, w pył zamieniał błota i wysuszał kałuże.

Słońce jaskrawe, pogodne, gorące, wzniosło się pewnego poranku, i rozjaśniło błękitne, oczyszczone

z chmur niebo. W powietrzu panowała świeżość, pozbawiona wszelkiej paroty. Pawica opuściła ogród i liściaste warzywa. Pośpieszyła pod stajnię i zawołała na głuchego Michała.

— Gdy...

Głodną była sama, bo trawki i porzeczki przesiąknięte wodą nie nasycali.

— Gdy... — powtórzyła głośnie.

Michał wybiegł i stanął jak wryty. Na twarzy jego malowała się rozpacz. Usta otworzył i milczał.

Przy pawicy kręciło się tylko jedno pawiątko, które przetrzymało dwutygodniowe słońca nieprzyjaznego mu klimatu.

V.

Nastala jesień.

Głuchy Michał, który wogóle więzów służby nie lubił, "spodobał sobie" w Rozdołach i do roku dobyć postanowił.

Szybko nadchodząca zima cieszyła go, bo obiecywał sobie wziąć pawicę z pawiątkiem. do stajni i nie rozłączać się już z nimi.

A pawiątko rosło jak na drożdżach i miało już zarodek pysznego ogona i piórka z gwiazdkami na głowie.

— A zabawne toż to było młode, a szare takiesiuteńkie jak matka, tylko czupurniejsze "jak żawdy samce".

Pawica go już uczyła, jak ma się wspinać na nocleg po rosochatej wierzbie.

Sama wskakiwała na gałąź i wołała z niej swym jakby z trudnością wydobywającym się głosem.

— Gdy... gdy...

Ale pawiątko się bało, chodziło pod wierzbą i tylko na odważną matkę zerkało ukradkiem.

Na płot, to już się odważało. A jakże pociesznie oboje wyglądali na płocie w ulubionym miejscu, opodal wierzby i stajni, po nad mostkiem nad rowem, w gałęziach leszczyny i czeremchy.

Michała zastanawiało tylko, że pawica, która zawzięcie na mego się z początku darła, teraz zupełnie nie krzyczała.

Czasem, gdzieś w ogrodzie, gdy ją co zestraszyla to się i odezwała, ale tych regularnych rannych nawoływań oddawna już słyhać nie było. I to od wiosny, od chwili jak zaczęła siedzieć na jajach.

To milczenie pawicy bardzo Michała trapiło. Bał się, czy to nie było oznaką niezadowolenia z jej strony a może... cierpienia.

Bolało go, że nie mógł się nikogo co do tego poradzić, ale tał się ze swoim

przywiązaniem do pawicy, jak z największym sekretem. Sądził, że gdyby o tem się dowiedziano, to niejeden umyślnie, aby mu

na złość zrobić, gotówby był skrzywdzić, lub dokuczyć przyjaciółce.

Nie mógł więc czemkolwiek nigdy zdradzić swych afektów. O pawicy też nigdy nie mówił, nawet z Leonardową, od czasu jak go ofuknęła w odpowiedzi na jego radosne zwierzenie.

Ale ludzie podejrzeli go, jak się czulił do pawiatka, jak mu drobił chleb, jak chował dla nich ser i groch.

Kpili też z niego w kuchni, że ślub wziął z pawicą.

A Antek zbereźnik wciąż drwił.

— Pawiatko Michała ladaco, takie głuche, jak i on, nie pożyje... Czeladź się śmiała, a Michałowi aż się serce ścisnęło na samą tę myśl.

— Cóżby pawica poczęła, gdyby jej ostatnie małeństwo miało zmarnieć? Toż podwójnie bał się dla niej slot jesiennych. Próbował ją zagnać do stajni, ale mu się nie dała.

Na pastwisku, gdy zoczył nadciągającą chmurę, to truchlał o swoje stworzenia. I choć ekonom surowo mu nakazał nie uciekać z pola przed byle chmurą, on skoro tylko pojawiły się na niebie od zachodu ciemne płyty, zganiał konie do stajni.

Przecież musiał być na stanowisku, gdyby pawica podeszła pod stajnię, szukając przygotowanego w niej schronienia przed październikową ulewą.

Tak nadszedł i listopad ze swemi wiatrami i przymrozkami. Jednego z pierwszych dni tego brzydkiego miesiąca, głuchy Michał poczuł w nocy dokuczliwe zimno, choć spał w stajni ogrzanej nawozem i końmi.

Zaraz mu stanęła w myśli pawica, która biedna nocowała gdzieś w ogrodzie, pod krzakiem, tuląc swego jedynaka pod skrzydło.

Łzy cisnęły mu się do oczu, ale zagryzł wargi i odwracając się na drugi bok, zamruczał tylko:

— Dobrze głupiej bestyi. Czemu się zagnać do stajni nie daje? Mądry Bóg... I zasnął na nowo.

Ale nie mógł się przyzwyczaić do tych długich nocy jesiennych. Nad ranem, to mu się wciąż zdawało, że już dnieje. Budził się i rozglądał po stajni, czy jasno, czy ciemno. Gdy w okienkach ciemność panowała, to znów zasypiał.

Tak też i tego dnia. Michał dospać nie mógł, ale drzemał, nie mogąc się doczekać dnia.

W tem jakby nagle się ocucił, bo mu się zdawało, że słyszy głos pawicy.

Zrazu nie wiedział, czy słyszał, czy mu się też śniło. Otworzył zaspane oczy i zerwał się z przerażeniem.

W stajni jasno było. Zaspał wśród leniwego słońca. Przez okienka przedzierał się jasny i słoneczny dzień.

— Oj przymrozek i to dobry! — zawołał Michał, skoro tylko spojrzął w okno.

Wstał ze słomy, mrużąc.

— Czy mi się widziało? czy pawica się darła?

Na twarzy jego malowało się lekkie pomieszanie.

Mi-choo!... Mi-choo! — zabrzmiał głos ptaka od strony płotu.

Ale głos ten, którego od wiosny nie słyszał, przestraszył go. Wydał lnu się innym, pełnym trwogi i rozpacz.

Mi-choo! — powtarzała pawica.

Parobek gwałtownym ruchem odryglował drzwi i wybiegł.

Słońce promieniało i przeglądało się w poćcinanych mrozem kałużach, olśniewało pokryte szronem trawniki i drzewa.

Michał biegł boso do płotu, od strony którego dochodził żalostny głos przyjaciółki, odzywający się raz po raz, jakby potrzebowała prędkiej pomocy. Biegł jak szalony, w jednej koszuli, a serce mu biło młotem, bo przeczuwał nieszczęście.

On już znał nuty i odcienie głosu pawicy.
Ta stała na płocie i krzyczała przeraźliwie.

Pawiatka przy niej nie było.

Gdy Michał podszedł ku niej, zagdakała i spojrzała na niego tak, iż chłopu łzy w oczach stanęły.

— A gdzie twoje małe? — zapytał — rozglądając się i nie wierząc jeszcze oczom.
W odpowiedzi pawica żałośnie krzyczała. Głową dziwaczne robiła ruchy i jakby pod most, obok leżący, zaglądała.

Michał rzucił się pod most.

Za chwilę wyszedł z rowu trzymając w dłoniach zimne już, zmarznięte pawiatko.

Pawica widząc swoje małe w jego rękach zefrunęła z płota ku niemu, jakby sądząc, że jej syna ocucił.

Michał oniemiały z bólu, opuścił ptaka na ziemię. Pawica rzuciła się ku niemu, i wyciągając do Michała swą białą główkę zagdakała.

Michał dłużej na nogach ustać nie mógł.

Usiadł na moście, opuszczając w rów nogi i zaczął płakać jak dziecko.

A pawica chodziła wokoło niego i gdakała, ale jakoś inaczej, niż zwykle.

Ile razy też odezwała się: Grdyy... — Michał wybuchał spazmatycznym łkaniem.

* * *

W kilka godzin później stadnina stała jeszcze w stajni. Nie było komu jej wygnać w pole, bo głuchy Michał zniknął bez śladu.

I długo o nim nie było ani słychu.

W dwa lata później dopiero spotkała go Leonardowa w miasteczku na jarmarku i zapytała, czemu opuścił Rozdoły.

— Miałem swoje przyczyny!

I już nie wróćcie? — pytała jeszcze baba — cóż wam takiego się tam stało?

— Co się stało, to się stało — odparł Michał — ale mi już Rozdoły obmierzły.

Póki życia moja noga tam już nie postanie. Nie krzywduję sobie. Dobrze mi było we dworze... ale tfu!

Splunął, jak to miał zwyczaj, gdy chciał odpędzić złe myśli i poszedł dalej.

BABKA BEZ ZIĘCIA.

I.

Stara wiejska kobieta dążyła przyśpieszonym krokiem drogą, prowadzącą, ze dworu Rozdolskiego do czworaków, znajdujących się na początku wsi.

Wyglądała pobudzona do żywego i dziwnie czemś dotknięta. Jej pomarszczona twarz, na której widniała tylko wyraźnie para małych błyszczących siwych oczu, drgała cała od doznanych wrażeń.

Szła niezwykle prędko i energicznie, a wydeptana ścieżka odbijała każde stąpanie jej bosych i płaskich nóg znanem wieśniakom kłopotaniem.

Baba wyglądałaby na żebraczkę, gdyby nie jej wcale nie pokorna, ale owszem rozdrażniona i rezolutna fizjonomia. Ubranie jej bowiem składało się z łachmanów obficie na jej ciele pozawieszanych, brudnych.

i podartych. A z pod rozwianej chusty na głowie wyzierały czarne jeszcze włosy, nastrzępione i bezładne.

Biegła coraz prędzej i energiczniej, tak, iż jej nadażyć nie mógł kilkumiesięczny prosiak, który tuż za nią, regularnie jak pies, drobił i pokwikiwał.

Kobieta na stworzenie nie zważała, bo jej niesłuchanie pilno było, tylko śmielsze stawiała kroki, a dolna jej warga opuszczona na dół i odkrywająca szereg przerzedzony szczybatych zębów, coraz ruchliwiej się jakby słowami poruszała.

Wreszcie zaczęła sama do siebie mówić:

— To łotra kawalek, to zbereźnik!... to nicpoń... taki despekt i wstyd! oj

Boże mój Boże! matko Nazareńska... patrzcie ją! dam ja ci! dam!

Rumieńce powoli występowały na jej chude policzki i nadawały tej oryginalnej twarzy niezwykły charakter. Niepodobna było odgadnąć, czy wielkie nieszczyście, czy też odwrotnie, jakiś pomyślny wypadek, tak kobiecinę poruszył.

Ominęła drogę zbaczającą do czworaków, a puściła się gościńcem, prowadzącym przez wieś. Leciała, patrząc prosto przed siebie i nie widziała prosiaka, który krok w krok szedł za nią.

Czasem tylko zwalniała kroku, by obetrzyć czoło z potu, bo majowe słońce, zbliżające się ku zachodowi, wprost na jej twarz rzucało jaskrawe promienie światła i gorąca.

Przechodziła około wiejskich ogrodów, na których sadzono pośpiesznie kartofle, bo wiosna tego roku

się opóźniła i maj ze swemi chlebobajnymi deszczami uciekał.

Ale nie zatrzymywała się nigdzie, tylko spoglądała dokoła siebie i poruszała dolną wargą, jakby sobie w pamięci notując, gdzie, kto i jak sadił kartofle-
Mruczała pod nosem.

— A bodajcie śmierć nie ominęła... żebyś była choć się powstrzymała z jaki tydzień czasu, a nie w taką pilną porę... kto mi ogród obsadzi i kto chwastów dla krowiny nazbiera? Boże mój, Boże! Matko Nazareńska! to ci się gałganica wybrała... dworki sadzą, kartofle, a chwastów i habru w pszenicy bez miary... gotowe baby wszystko powrywać i człękowi nic nie zostawić... matko Nazareńska...

Westchnęła ciężej, jeszcze przyśpieszyła kroku, by wkrótce zboczyć w wygradzoną żerdziami drożynę, prowadzącą do zarosłej śliwiną i czereśniami chałupy.

Już była blisko tejże, idąc wzdłuż żerdzi, odgradzających ścieżkę od ogrodu, gdy usłyszała swoje nazwisko.

— Jabłońska! a gdzież tak dyrdacie?

Kobieta stanęła jak wryta i zobaczyła dopiero starą Stypulinę, siedzącą, na worku z kartoflami w pośród oranego ogrodu.

— A do was kumo! — odparła głosem, w którym Stypulina odgadła nutę trwogi, bo zerwała się z worka i podeszła do płota, pytając.

— Cóż takiego? gadajcie, bo widzę, żeście.....

— Oj tak, tak — podchwyciła Jabłońska — strasznie mi pilno i serce mi dygotało, czysta w domu.

Na te słowa stara kobieta podniosła chude ręce do góry i uderzając niemi, zawołała:

— Więc już jest?

— A już!

— Chryste Panie! — zawołała Stypulina, a w okamgnieniu twarz jej stara i pomarszczona, nabrała wyrazu niepokoju i ożywienia — ja myślałam, że jeszcze pochodzi do Zielonych Świątek.

— A i ja także, ale chodźwa prędzej!

Stypulina przesadziła zgrabnie, jak hoża dziewczka, płot i obie starowiny skierowały swe kroki na drożynę, która przybyła Jabłońska.

Przyśpieszając kroku, nie uważały obie, iż do tego stopnia się rozmachały, że formalnie biegly.

— A czy bardzo słabuje? — pytała Stypulina — bo ja wam kumo mówię, że jeśli Iwaśka stęka tak, kiejby nieprzymierzając... to będzie chłopak, a jeśli... — urwała i zapytała.

— A macie wódkę?

— Mam... mam wszystko — odparła wzruszonym szeptem Jabłońska.

— A cobyście kumo woleli, dziewuchę czy wnuka?

Jabłońska, która już przy kilku ostatnich pytaniach zmieniła wyraz twarzy i wyglądała wysoce rozdrażnioną, wybuchnęła.

— O Boże mój. Boże! matko Nazareńska! co mi tam gadacie, coby wolała? Dyc bym nic nie wolała. Dam ja jej za moją sromotę i ubiję, utłukę, coby się tam urodziło....

— Słuchajcie kumo — podchwyciła Stypulina — sromota sromota, a wnuk wnukiem, o wypadek fraszka., trafunki się zdarzają... Bóg dał, mówią, na świecie... przyjąc trza...

— Ale bo wy nie wiecie mojej biedy — zawołała Jabłońska — chłopca mam do niczego, krowa na ocieleniu, człowiek niema przy duszy grosika, ani kapki mleka... na kartofle się zapożyczyłam, za chłopca zapłaciłam, co nie miał paszportu i co go strażniki zabrały ciupasem i jeszcze ten nicpoń, ten łotr.... ten..

— Franek?

— A ino.

— Cóż takiego?

— Tać jemu jeszcze dałam dwa ruble na buty, bo bez butów chodziła bestyja obmierzła....

Umilkły, ale po chwili Stypulina znów zagadnęła.

— Niema człeka bez biedy, niema ryby bez wody, ale. gadajcie, bo mnie, widzicie, wszystko wiedzieć trzeba.

Cobyście woleli czy dziewkę, czy wnuka? — zagadnęła przystając.

— Matko Nazareńska! — zawołała Jabłońska jeszcze przyśpieszając kroku — co mi po wnuku bez zięcia, co mi....

— Dyc Franek może się z Iwaśką ożenić — podchwyciła ruszając Stypulina — i będzie zięć...

Jabłońska tym razem stanęła jak wryta, zapieniła się ze złości i zawołała.

— Nie gadalibyście próżno i durno, kumo! A co mi po takim zięciu gałganie? co mi po takim zbóju, co mną poniewiera i potrąca, jak kiejsik... dyc cała wieś widziała! Co mi po takim łotrze, co szubienica nań gdzieś czeka ino?...

— Ale widzita kumo.....

— Nie gadajcie mi, na miłosierdzie — fuknęła ruszając — bo jak się rozłoszczę, to mojego ubiję, że mi tego Franka jeszcze gdzie nie uprzątnął. Nie gadajcie, bo nie przecierpię mojej sromoty....

Umilkły więc obie i zbliżyły się do budynku, mieszczącego czeladź dworską folwarku Rozdolskiego.

— Nie weźmieta Iwaśki do domu? zapytała Stypulina cichutko.

— Nie! — odparła równie cicho Jabłońska.

— Dyc tutaj rodzić nie przystoi...

— A kto jej kazał? niech ma!

— I ani wnuka nie weźmieta do siebie? — zapytała jeszcze ciekawie Stypulina. Jabłońska, nieco odobruchana, przystanęła i szeptała.

— Niechno ino urodzi, to zobaczę i może mnie matka Nazareńska upamięta i

natchnie.

Wtem z budynku doleciał do obu kobiet jakiś głos przerażającego bólu.

Zerwały się więc i pobiegły, a Jabłońska, poruszając silniej dolną wargą, leciała szybciej od swej rówieśniczki, a szeptała niewyraźnie.

— Boże! matko Nazareńska... drze się Iwaśka kiejby... Dobrze jej! niech ma za swoją!.. Żeby tak piorun poraził tego łotra z pod szubienicy... Matko Nazareńska, dyc moje dziecko.... Dam ja mojemu, żeby tylko....

Urwała, bo łyzy spływały z jej starych wychudzonych, ale zarumienionych od wzruszenia policzków.

II.

Jabłoński widział żonę ze Stypuliną, jak spieszyły i weszły do dworskiego budynku. Na polu zwanem (świńskie doły" leżał on na brzuchu, otoczony trzodą chlewną, która dokoła niego się rozproszyła i szukała wśród pokrzyw i ostów ulubionych trawek. Leżał na murawie i tylko o tyle podnosił głowę, okrytą starym słomianym kapeluszem ponad chwasty, o ile tego wymagał dozór nad zwierzętami. Ale na (świńskich dołach" Jabłoński nie miał z trzodą kłopotu, bo na tem polu rosły same smaczne zielska. To też najwięcej on tam lubił wyganiać świnię.

Kładł się wtedy wygodnie na zacienionej starą, gruszą, murawie i rozglądał uważnie i ciekawie po świecie.

A nic nie uchodziło ztąd jego uwagi, co się dokoła niego działo. Widział on wszystko i ztąd wszystko wiedział, bo szczególnie baczył, by zawsze wybierać sobie na pastwisko pole, z którego by się najszerszy i najrozleglejszy rozciągał widok.

Ztąd też nic nie robiąc, nigdy się nie nudził, i doskonałym był pastuchem, bo się nawet na polu w najskarniejsze lipcowe dni nie zdrzemnął. Ile razy sen mu chciał skleić powieki, to myśl, że podczas tego cośby się mogło w Rozdołach wydarzyć, czego on by własnymi oczami nie widział, trzeźwiła go natychmiast. Wychowany w Rozdołach, dziwną przywiązywał wagę do najdrobniejszych szczegółów egzystencji mieszkańców dworu i wioski.

Małomówny i podejrzliwy, wołał widzieć, niż słyszeć.

To też pochlebiał sobie, że od sześciu lat, jak zajmował w Rozdołach stanowisko pastucha dworskiej nierogacizny, nie zaszło we wsi zgoła nic, czego by on pierwszy nie zoczył i nie wymiarkował.

Dnia tego, skoro tylko zdała, drogą wiodącą ode wsi do folwaku, zoczył dwie idące kobiety, podniósł nieco głowy i wkrótce rozpoznał swą żonę. Wtedy jednym ruchem ciała przewrócił się na murawie jak

wałek brzuchem do ziemi, podparł głowę na łokciach i wlepił wzrok w kroczące w dali kobiety.

Wyglądał wysoce zaciekawiony, co się odbijało w wyrazie jego siwych, wpadających w błękitny odcień, sprytnych i figlarnych oczu. bo pięćdziesięcioletnie oblicze jego, opalone, posiekane, koloru starego brązu, nie mogło nic wyrażać.

Jakiś uśmiech tylko błąkał się po jego ustach, coraz widoczniejszy, im więcej obie baby zbliżały się do budynku, a tem samem do jego stanowiska.

— Stypulina, jak Boga kocham! — zamruczał wreszcie i równocześnie rozpromieniła się nieco jego twarz, zdradzająca w tej chwili pewne nie zupełnie bezmyślne zajęcie się Jabłońskiego.

Baby już weszły do budynku, znikając z oczu pastuchowi, a on jeszcze w tym samym kierunku wyteżał wzrok, w którego bystrym wyrazie zdradzała się praca mózgu.

Nagle się zaśmiał i szepnął.

— Będą chrzciny! hahaha!.... ale baba tożto musi lamentować.... co ino jej tu nie widać.... ino wyglądać... hahaha...

Śmiał się, a nie spuszczać oka z budowli, w której, jak się domyślał, w tej chwili może rodziła jego córka Iwaśka, tak dalej sam do siebie mówił:

— No i proszę ja kogo, anibym miarkował, że to tak rychło nastąpi... wczoraj jeszcze do kotłów nanosiła z dziesięć konewek wody, jakby nic... Żeby

mi była powiedziała, tobym ją wyręczył... tęga dziwka, jak Boga Kocham!..

Zamyślił się, potoczył wzrokiem po pastwisku, czy mu czego na niem nie brakowało i dalej tak, urywając, to ciszej, to głośniejsze, mówił.

— Jak Boga Kocham, tak jakbym widział własnymi ślipiami.... Zeszłego roku, o tym samym czasie bo jak dziś pamiętam, w sadzawce baby już prały na Zielone Świątki, a żyto kwitło, że aż ha..., siedzę sobie tak, jakby teraz na "świńskich dołach", ino jeszcze żyła ta locha angiela, co to była szkodna i uparta, kiejby baba czworonożna, i patrzę, a tu Franek wali chyłkiem po pod płoty z pola do czeladniej kuchni.... Jak dziś pamiętam, zaraz cosik mnie tknęło i pomyślałem.... ho! czy chłopak gałgan Iwaśce się nie zaleca?... No i tak rychtyk było....

Jabłoński umilkł, ale dalej w tymże kierunku myślał, bo ani nie zmieniał pozy, ani twarz jego nie przybierała innego wyrazu.

Nagle pobladł i wyciągnął głowę, natężając wzrok. Coś ciekawego zoczył przed domem folwarcznym. Tak, nie mylił się! Jabłońska śpieszyła wprost ku niemu.

Chłop zaraz się podniósł i z właściwą sobie zwinnością mruczając pod nosem, ruszył z miejsca.

— Baba siarczyście wprost na mnie wali, jak Boga Kocham.... trzeba zmykać. Strzelił batem raz i drugi, a świnię, jakby nauczone, na to hasło zbiegały się w gromadę, poharkując.

Jabłoński nasunął słomiany kapelusz na głowę i dalej wywijając sobie batem, jak jaki chłopaczek, szedł wielkimi i szybkimi krokami za swą trzodą, gnając ją het w pole. Rychło się oddalił od folwarku i od ("świńskich dołów" i od Jabłońskiej. Ta przyspieszała kroku coraz bardziej, zdziwiona, bo widziała wychodząc z budynku i grzbiety świń i czubek kapelusza męża, wyzierające ponad habry znanego jej pola — a tu nagle jej zniknęli — i on i trzoda.

III.

Gdy zziązana Jabłońska stanęła na "świńskich dołach", śladu tu już nie było jej męża.

Oczom własnym nie dowierzała i rozglądała się po pokrzywach i ostach.

— Niecnota chłop, Boże mój, Boże! Matko Nazareńska! — zawołała, ocierając fartuchem pot z czoła i wpadając w niepohamowaną złość. Ale umilkła i puszczając się pędem w kierunku, w którym niedawno co Jabłoński pognął świnię, szeptała ochrypłym głosem;

— Wiem ja, gdzie ty się chowasz, wiem ladaco, dam ja ci — mruczała pędząc bez upamiętania przez pola i ugory aż pod górę, pod którą dopiero zwolniła kroku.

Wysunawszy głowę tak wysoko, by dojrzeć niwy roztaczające się po drugiej stronie góry, przystanęła.

— Wiedziałam, gdzie cię szukać niecnoto! — mruknęła z radością, ujrawszy tuż za górą na łące całe stado nierogate i leżącego w trawie ponad rowem męża.

Ale nie poszła wprost na niego, tylko powróciła nazad i obierając drogę, z

którejby jej dojrzeć nie mógł, nagie wychodząc z poza góry, zjawiała się na łączce, o kilkanaście kroków od spokojnie leżącego pastucha.

— Ty niecnoto! — wołała już zdala — czy ty myślisz, że ja jaka panna, co to ma zdrowe nogi i może za tobą uganiać? Ty świntuchu jeden! ja nogi już za tobą zdarłam... Patrzajcie go! pas na "świńskich dołach" i jak mnie swojemi ślipiami dojrzał, tak tutaj się przeniósł, zbój ten i pod szubienicy....

Już była przy mężu. Ten powstał na widok swej żony i filuternie się uśmiechając, odparł.

— Jak Boga kochani, tak was ani widziałem.

— A jużcić! — podchwyciła Jabłońska — nie widział mnie, wisielec? albo to pierwszy raz? dam ja ci.... Matko Nazareńska, toż się zmachałam...

To mówiąc, osunęła się na ziemię, a Jabłoński stał nad nią i batem postrzeliwał. Milczenie trwało chwilę — przerwała je kobieta.

— Świntuchu ty! słuchaj!

— Ino?

— Iwaśka porodziła....

— Bo się już i patrzało — odparł sentencyonalnie mąż.

Znów nastąpiło milczenie, które po upływie kilku minut przerwała Jabłońska, zawodząc.

— O Boże mój, Boże! Matko Nazareńska! co ja pocznę? co ja pocznę? Ja grosika nie mam, ja ogrodu nie obsadziłam, krowa się nie ocieliła... Matko Nazareńska, co ja pocznę? co ja pocznę?

— Cichobyś siedziała babo! — podchwycił Jabłoński — cóż się stało? myślałby kto, że się co stało... dyć wiedziałś dawno...

Na te słowa kobieta się zerwała i przyskoczyła do męża, mówiąc ze złością.

— Słuchaj, niecnoto! Jak mi tego Franka z Rozdołów me wykurzysz, to cię ubiję, zagłodzę, tak ci się poprzysięgam na Matkę Nazareńską...

— Ino?

— Nie przedrzeźniaj mnie, łotrze z pod szubienicy, tylko mi zrób koniec z tym Frankiem, bo jak się rozłoszczę, co ci mówię, że cię ubiję, Iwaśkę utłukę, Rozdoły z dymem puszcę a zboreznika tego z przed oczów się pozbędę. Od czegoś ty chłop, niezdaro?

— Dyć poco mu dawałaś dwa ruble na buty? — podchwycił Jabłoński, niby od niechcienia smagając batem.

Baba się na dobre rozsierdziła. Jednym susem podskoczyła do męża, wyrwała mu bat z dłoni i bijąc nim o ziemię, wołała:

— Co ci, niecnoto, do moich dwóch rubli? alboś na nie zapracował? alboś mi od dwudziestu lat choćby grosik oddał? alboś krowinę kupił? alboś prosiaka przychowal? niecnoto!

Jabłoński milczał, więc baba batem o ziemię uderzać przestała, a zaczęła nim wywijać tuż nad głową męża, mówiąc dalej nieco spokojniejszym tonem.

— Żebyś wiedział, wisielcze, że jak mi pieniędzy się nie wystarasz na chrzciny, jak....

— Jakie chrzciny? — podchwycił widocznie uradowany Jabłoński.

To zapytanie, jakby zimną wodą nagle oblało kobietę, ale tylko na chwilę, bo zaraz zaczęła.

— Patrzajcie go, niby nie wie? Niewiniątko, stary wisielec! Otóż, jak mi pieniędzy na chrzciny się nie wystarasz, jak mi Franka z przed oczów nie usuniesz... no! to ja.... zobaczysz!

Zmęczona, wysiłona i wyczerpana, osunęła się na ziemię i zaczęła cicho lamentować, głośniejszymi wymawiając tylko co chwila.

— O Matko Nazareńska....

Jabłoński z podełba jej się przypatrywał, a dziwny uśmiech, pełny filuteryi, wykrzywił mu usta.

Nagle, posmagując prętem podniesionym z ziemi odezwał się.

— No, cicho.... cicho, babo. Będziecie babką, to na tę ceremonię jeszcze w skrzynce zdybiecie jakie parę rubli.

Te słowa zelektryzowały na nowo Jabłońską. Zerwała się na równe nogi i prosto z wyciągniętym batem, nie mogąc już wypowiedzieć słowa, ruszyła na męża, który przed nią zmykał posuwistym krokiem.

Gonitwa trwała kilka sekund. Kobieta nie miała sił gonić męża, któremu znów nie chciało się i uciekać.

Stanęli oboje w pewnej odległości od siebie, a Jabłoński korzystając z tego i z zasapania się żony, tak zaczął rezolutnym głosem, zabierając się do ruszenia z trzodą.

— Duchem idę odszukać Franka i będzie już koniec, albo mnie, albo jemu śmierć za moje dziecko.

Oblicze kobiety w oka mgnieniu się wypogodziło. Podając bat mężowi, mówiła.

— To weź batog... a pamiętaj, com ci powiedziała.

Chłop chwycił kij z powrózkiem i smagając nim na świnię, lekko i szybko, ale jakby ciągnąc za sobą nogi, pospieszał, mówiąc.

— Rozprawię się ja raz z tym psiawiara, a wy myślcie o chrzcinach.

Rozeszli się. On ciągnął dalej w pola popod górę, a ona łąką ku wsi powoli kroczyła.

Nagle przystanąła i obracając się do męża wołała.

— Ty niezdarco... słuchaj! a Franek na pewniaka z pługiem pod lasem.

— Już ja wiem, — mruknął Jabłoński i przyspieszył kroku, jak gdyby mu pilno było, wywołując tem uśmiech radosny na obliczu żony.

Już byli daleko od siebie. Jabłoński stanął na szczycie góry, jeszcze się obrócił i zaczął wołać.

— Babo! baboo! baabo! Jabłońska przystanąła.

— Haaa?

— A co? chłopak czy dziewczucha?

— Chłopak! — odparła żona i wkrótce zniknęła za górką.

Jabłoński szedł dalej ze spuszczoną głową, i mruczał coś pod nosem i uśmiechał się:

— Ha! — cedził półgłosem — to nie inaczej, jak kiej bym był dziadkiem... baba będzie musiała zajrzeć do swych kryjówek... toż to skąpa kobieta... Franka mi każe bić... ciekawy? jeszczeby mnie uśmiercił... cóż to? taki zboreźnik bez czci i wiary.... Kiejsiś, jak się zamierzył na mnie z kłonicą to już myślałem, że mię na miejscu ubije, a i babę pono poturbował... ha ha ha! — hultaj z chłopca... ale co baba, to baba! na przeróżne trzeba się z nią brać sposoby...

IV.

Na niwie, pod lasem stał pług, zaprzęgnięty w parę koni, ale bez oracza.

Szkapiny wybierały tylko perz z przewróconej roli i zachowywały się spokojnie i cicho, jakby się bojąc obudzić Franka.

Ten leżał na murawie pod brzozą, ale nie spał. Oczy wlepił w błękitne niebo, na którym gdzieniegdzie tylko uwijała się chmurka i z błogością używał spokoju kończącego się skwarne go dnia, wśród ciszy leśnej.

Franek wyglądał na ośmaście lat wieku, który mu wesoło na psotach upłynął.

Rozrósł się jak chłop, co go praca nigdy nie przeciążyła, a próżniactwo rozbijało.

Jego okrągła twarz, opalona jak bronz, uderzała zwierzęcą bezmyślnością. Ręką podparł głowę i dumiał. Zapatrzył się w biały obłoczek, który mu zupełnie

kształtem przypominał twarz ludzką, palącą papierosa, o zadartym nosie, a wydętych policzkach.

Dumał na tem, że orka mu już obmierzła i przebiegał w myśli całą swoją różnorodną przeszłość, w której ani razu natrafić nie mógł na odpowiadający mu fach.

Zaczął był swą karierę od pasienia stadniny w Rozdołach, gdzie ojciec jego był owczarzem, ale że wciąż na pastwiskach spał, a konie szkody robiły, więc go niemilosiernie bito. To bicie mu się wreszcie sprzy-

krzyło, więc raz pewnego wypędził w pole stadninę, a sam poszedł w świat. Uśmiechnął się na samo wspomnienie, co to stadnina szkód musiała narobić, zanim spostrzeżono jego zniknięcie — i dalej myślą przebiegał swe krótkie tycie. Coś go zawsze nęciło do miasta. "Więc się zgodził za furmana do starego rewizora, u którego mu było dobrze, i u którego byłby zapewne dotąd pozostawał, gdyby nie okoliczność, że rewizor po nocach jeździł a on nigdy dość snu nie miał. Wyrzucił też raz staruszka z mostu do błota i sam razem z nim zleciał. Zabrał się zaraz do ratowania swego chlebodawcy, ale widząc, że tenże coś bardzo stękał, zostawił go i konie w błocie, a sam ruszył, zabierając tylko bat, prosto przed siebie.

Franek na głos się roześmiał na samo wspomnienie tej chwili, w której się w błocie z twardego snu obudził, a w której sądził, że rewizor już ducha wyzionie. Ale myślał dalej,

— Jak ruszył wtedy z tej grobli, tak się zatrzymał dopiero o kilka mil dalej na gościńcu, przy którym orały pługi zaprzężone w woły. Pierwszy raz wtedy woły zwróciły jego uwagę. Takie powolne, spokojne, ciche, cierpliwe i obojętne. Postanowił zgodzić się do wołów i uskutecznił to zaraz w tym dworze, do którego należały owe orzące woły. Co te stworzenia mu krwi napsuły! Raz, gdy zasnął, tak, jakby dzisiaj, zabrały się

z pługiem i skubiąc trawki zaszły aż do stawu o pół mili, gdzie ugrzęzły. Raz znowu, gdy tak około południa pozostawił je na skwarze, a sam poszedł na jagody do lasu, jakaś bestyja dzik pokąsał woły i te jak ruszyły z pługiem, tak się zatrzymały pokaleczone dopiero w oborze. Wtedy to osądził, że woły nie więcej warte od koni i postanowił stanowczo zmienić zawód. Myślał o tem, czyby nie dobrze było zgodzić się na owczarza i w tym celu wybrał się do Rozdołów, by się poradzić ojca.

W Rozdołach zastał kucharkę w kuchni czeladniej, Iwaškę, córkę tego Jabłońskiego, co to był i owczarzem, i parobkiem, i stróżem, i fonałem, a który wtedy zgodził się do świń. Ta Iwaška jakoś mu wpadła w oko i postanowił zostać w Rozdołach, gdzie siłą obietnic poprawy wymógł że go przyjęto za fonała. Przestał myśleć. Tu się kończyły jego wspomnienia, na chwili blisko o rok odległej, w której raz pierwszy z tą parą gniadych koni, stojących nad nim, ruszył w pole.

Zachmurzył się, a jakiś wyraz niezadowolenia zjawił się na jego obliczu.

— Co mi po takiej służbie — mrucał, wpatrując się w niezmienną dziwnego kształtu chmurkę — konie kiepskie, role zaperzone, pługi kował źle klepie, życie nijakie... abo ja głupi dalej tak biedować.... człowiek na papierosa niema i łaknie grosza jak nigdy... trzeba ruszać dalej.

Zamyślił się widocznie, bo zacisnął usta, a smak papierosa, którego tak wyraźnie ta chmura paliła, coraz mu więcej dokuczał.

— Żeby tak od starej Jabłońskiej — myślał — wydurzyć jakie kilka rubli na drogę....

Nagle zamruczał.

— Ale bestyja baba nie da, skapa jucha i jeszcze ją kieciś smagnałem biczyskiem przez plecy... Albo co?
Co i się wtrącać do mnie?
Umilkł i długo myślał, by nagle, podnosząc się z ciężkiem westchnieniem, wyszeptać.
— Jeszcze gotowa Iwaśka porodzić i fornale śmiać się będą... co mi po tem?...
W tem zobaczył Jabłońskiego, który też ku niemu ze swą trzodą dążył, i bąknął.
— Może stary świniarz psiamać ma na niuch tytoniu.
Położył się napowrót i wołał.
— Jabłoński, chodźta!
— To tak nicponiu orzesz? — odezwał się zdala Jabłoński, poganiając swe stado w stronę Franka.
— A ino! a jakżeście chcieli?
— Gdyby cię tak rządca, albo dziedzic nadybał?
— A jo co?
— Złałby cię też ha! ha!
— No i co? ja tam się boję...
Równocześnie Jabłoński wpuścił w las swoją trzodę, a sam stanął nad Frankiem.

— Wiesz, co się stało?
— Gadajcież!
— Iwaśka! już!
Frank się głęboko zamyślił i wytrzeszczył oczy na obłok.
Po dobrej chwili westchnął i powstał. Przeciągnął się, ziewnął i zagadnął.
— Nie macie no papierosa?
— Mam? dlaczegoż bym nie miał?
— To dajcie, bo mi się aż coś dzieje..., Jabłoński wyciągnął zmięte zawiniątko zużytego pęcherza i podczas gdy obaj skręcali sobie po papierosie, tak mówił.
— Baba mi kiedyś nie chciała dać na tytoń, to i musiałem się zapożyczyć u żyda, a com się go naprosił.
Frank milczał i pośpiesznie pociągał i wypuszczał kłęby dymu. Wreszcie rzucił niedopałek w las i zabrał się do pługa. Już miał poganiać, gdy zagadnął Jabłoński.
— Jakieżś Franek nie swój?
— Boć mi się cni...
Machnął batem i popędził konia bruzdą, a Jabłoński stał pod lasem i przyglądał się to odwalonej skibie, to Frankowi, który zapatrzony w ziemię nie chciał z nim pogawędzić.
— Chłopakowi coś już w głowę strzeliło — mrucał — ino patrzeć, jak pójdzie światami.

Wtem Franek znów z pługiem zbliżył się ku niemu i zagadnął go ze śmiechem.
A co? chłopak czy dziewucha?
— Chłopak!
— Toście dziadkiem Jabłoński! — zawołał z wyzywającym uśmiechem Franek.
— A ino!
Frank znów popędził bruzdą, ale w połowie tejże stanął, odwrócił się do Jabłońskiego i siadając na grzędzieli zawołał ze śmiechem.
— Dziadek, ha! ha! ino bez zięcia! ha! ha! Jabłoński w jednej chwili się rozsierdził.
— Co gadasz? zapytał, podchodząc do pługa.
— Iha! ha! — śmiał się Franek — patrzajcie mi! taki dziadek.
— Stul pysk!
Ale Franek nie słuchał tego wezwania, tylko wielce rozweselony popędził bruzdą, wołając na Jabłońskiego który stał na roli i różne miotał mu przekleństwa.

— Cicho świniarzu byście byli, bo czy tak, czy owak, toście dziadek bez zięcia, ha! ha!

Jabłoński stał jak wryty. Nogi mu ugrzęzły w spulchnionej roli, a jego oblicze wyrażało głęboką, zadumę.

Z początku stał nieruchomy, po chwili zaczął smagać batogiem, ale bez zwykłej przy tym swobody. Stał długo i myślał. Byłby tak jeszcze dłużej dumał, gdyby nie Franek, który już zawróciwszy z pługiem powracał świeżą skibą.

Wtedy dopiero się ruszył, ciężko westchnął i wycodził półgłosem do siebie.

— Że też pan Bóg miłosierny takim zbereźnikom świętej ziemi użycza?... ha, teraz babę rozumiem. Splunął i zafrasowany, jak nigdy i zadumany, jakby raz pierwszy dostrzeżoną zagadką życiową, strzelił z bata i pognął świnie ku folwarkowi, oglądając się tylko na słońce, którego jedna promienna połowa, przetrzęta chmurą, jakby błękitną tasiemką, wyglądała z za góry, pokrytej szmaragdową zielenią majowej pszenicy.

V.

W ciasnej, dusznej i osmolonej izdebce siedziała Jabłońska na wysokiej zielonej skrzyni.

Wyglądała zafrasowana do najwyższego stopnia, bo wsparła swą głowę na dłoni i wzdychała bez przestanku.

— Jezu litościwy, Matko Nazareńska...

Znów zapadała w najgłębszą zadumę, budziła się z tym samym westchnieniem i dalej myślała, spoglądając tylko często w stronę kąta izby, w której stało jedyne łóżce.

Na niem, na wysokim posłaniu z kolorowych poduszek, leżała młoda kobieta, przystojna, choć blada i wycieńczona, Zmęczony, lecz myślący wzrok zapuściła

w bezdeń przed siebie, a jedną ręką machinalnie poruszała kołyskę, w której, jak zawiniątko jakie, spoczywało kilkodniowe ciało niemowlęcia.

Cisza panowała w izbie i przerywały ją tylko westchnienia, ciągle a długie starej Jabłońskiej, oraz uderzenia biegunów kołyski o podłogę.

Stara kobieta w swych łachmanach wyglądała na czarownicę. Jej koszula u piersi była podartą i pomiętą, a zabrudzona chusta na głowie roztworzyła się więcej, niż kiedykolwiek, ukazując zwoje czarnych włosów. Jej dolna warga wciąż się poruszała, pokazując dolny rząd powybijanych zębów.

Nagle zerwała się ze skrzyni i uklękła przed nią, a otwierając ją tak sama do siebie prawiła.

— Matko Nazareńska, niema co przemyśliwać... dziecko mogłoby zamrzeć i dopiero by była bieda.

Tu dobyła szmatę jakąś, którą zaczęła rozwijać bacząc przytem, by leżąca za nią Iwaśka nie widziała tego, co robi. W szmatach zawiniętych jedna na drugą, znajdowały się banknoty rublowe i trzyrublowe, stare, zmięte i poplamione. Nie wydawały też one żadnego szelestu, choć je Jabłońska liczyła i oglądała, wyjmowała i napowrót w szmaty wciskała.

Wydobywała też i inne zawiniątka do pierwszego podobne, a mieszczące w sobie także pieniądze, dziwacznie pomięte i posegregowane, te oglądała i nazad to w kąty skrzyni, to po pod różną bielizną chowała.

Jej dolna warga więcej tylko przy tej czynności drżała, a oblicze wydawało się pogodniejsze.

Ile razy jednak które z zawiniątek na swoje włożyła miejsce, to za każdym razem

wzdychała ciężko.

— Jezu litościwy... Matko Nazareńska...

— Wreszcie tak do córki, nie dającej znaku życia, ale poruszającej kołyskę zagadnęła.

— Miałam jeszcze pięć rubli, co utargowałam za wieprzaka będzie temu z pięć lat i co schowałam na ostatnią potrzebę, gdy Jezus litościwy i Matka Nazareńska człowieka powołają przed Swe oblicze i.... zdybać nie mogę... gdzieś się zapodziały i przewracam szmaciny i jak niema, tak niema.

Iwaśka milczała, a Jabłońska po chwil i przeliczywszy w jednej paczce dziesięć rublowe papierki tak ciągnęła.

— Matko Nazareńska, jak niema tak niema, i znów wypadnie gdzie się zapożyczyć i wejść w dług i zaprzedać duszę... Czyby chłop się zakradł do skrzyni i zdybał?...

— I pewnoczko się zakradł, bo cóżby się z pięciorublowką stało, moją jedyną, co tak strzegłam, bo widziałam wczoraj jak chłop z karczmy wychodził...

Tu zamykając skrzynię na dwa zamki, a chowając pieniądze za koszulę, zaczęła lamentować i zawodzić nad tymi jedynymi pięcioma rublami.

— Jedyne! moje jedyne! — mówiła zwyczajnym swym płaczącym tonem — com chowała na trumnę dla siebie i co ja teraz pocznę?

Zaczęła krzątać się po izbie, jakby się zabierała do wyjścia i wciąż narzekała na okrutną biedę, na

męża, na Franka zbereźnika, który ją w taką biedę wpakował, że musiała się u ludzi zapożyczać.

Wreszcie umilkła, by po chwili poprawiwszy włosów i chusty, zapytać Iwaśki, stojąc nad nią.

— No i co moje dziecko? tak i dziecku chcesz, by było Franek na przezwisko?

— A ino... uśmiechnęła się bladej twarzy Iwaśki...

— Jezu! Matko Nazareńska! Co też za dziecko z ciebie?

— Dyc ja bym... Ja nie przecierpię tego, by on się Franek nazywał i mnie przypominał tego łotra z pod szubienicy.

— Jeśli tak matulu, to tam obmyślcie mu inaczej....

Jabłońska spojrzała na córkę i zamyśliła się, poczem nic nie powiedziawszy, wymknęła się z izby.

Popędziła prosto do karczmy, bo postanowiła sobie podchmielić, zanim przystąpi do przedchrzcinowych obrządków i zajęć.

A biegnąc swym zwykłym pośpiesznym krokiem mruzczała.

— Matko Nazareńska, człowiek sam jak ta topola.

Tu spojrzała na wyniosłą topolę, rosnącą na drodze, odartą od dołu z gałęzi, a uschniętą od góry i dalej ciągnęła.

— Chłop ani się spyta, za co wyprawic chrzciny, tylko przyjdzie wypić.

Zapieniła się.

— Co on zbój sobie myśli? że u mnie w skrzyni pieniądze się rodzą, czy co? Dam ja mu ino wypiję na odwagę i pożyczę u kogo...

— Patrzcie ją — mruzczała już tuż pod karczmą — by mu Franek było? Franek! Dyc Bóg by mnie ciężko skarał, żebym dawała niemowlęciu takiego patrona, co się wyrwał z pod szubienicy; sama się zaśmiała z dziwnego obrotu treści swych słów i wpadła do karczmy.

VI.

Jabłoński szedł na obiad do domu, a szedł bardzo zamyślony, bo nie wiedział, jak wyjść z trudności, w jakiej się znajdował.

Obiecał był żonie rozprawić się ostatecznie z Frankiem, o czem na seryo ani

chwili nie myślał, bo od parobka nie chciał oberwać. Powtóre obiecał wystarać się o potrzebny fundusz na chrzciny a i o tem mowy być nie mogło, bo mu się zasług we dworze nie należało.

Szedł więc zafrasowany i przemyślał nad sposobami wybrnięcia z fatalnego położenia.

— Z babą nie przelewki — mrucał — da sobie radę, bo da, pożyczę, albo sprzeda, a kto wie czy bestyja w szmatach jeszcze by co nie znalazła?... ale jak nie rozprawię się z tym Frankiem, tak mi do chałupy dostąpić nie da, a te chrzciny.

Urwał i przystanął, rozglądając się za siebie, czy więcej parobków, lub fernali za nim na południe do szynków nie dąży. Miał zamiar poradzić się którego z nich.

— Poradzę się — mrucał — albo tego łotra Antka, ho! to filut nad filuty jaki on?... albo i Szczyrbo, chłop zna wszystkie sposoby, a zna i kryminał, jak swoją kieszeń...

Wtem uśmiechnął się. Jakaś myśl przeleciała mu przez głowę równocześnie gdy na końcu ścieżki, którą szedł, zoczył idącego od folwarku Franka.

Chłopak spieszył się i przemyślał coś, bo ręką machał i gestykulował, jakby wtórując swym myślom.

Zrównał się z Jabłońskim.

— Słuchaj Franek — zagadnął go Jabłoński — masz titoń?

Franek stanął, złowrogo spojrzał staremu pastuchowi w oczy i rozłoszczony odparł.

— A co wam do tego psiamać! dziadku bez zięcia, albo ja się was pytam, albo ja was?...

Nie dokończył, bo nagle zmiarkował, że Jabłoński nie przez kpinki mu zadał pytanie. Przystanął więc, starając się go wymiarkować.

Jabłoński nie obraził się, tylko dalej mówił.

— Nie sierdź się durniu, a tylko odpowiadaj, chcesz titoniu.

— A gdyby?

— Tobym ci dał...

— Dajcie....

— Ha!... zaśmiał się Jabłoński, — a ino, dam ci, a chciałbyś się urznąć na chrzcinach?

— Gadacie! albo to mnie Jabłońska zaprosi?

— Już moja w tem głowa — podchwycił pastuch z filuternym uśmiechem na twarzy — ino słuchaj, co ci powiem.

— Gadajcie, ino żywo, bo na obiad mi pilno...

— No to taka historia. Baba wciąż mnie morduje — zaczął Jabłoński, zniżając głosu i rozglądając się dokoła — bym cię wyprał.

— Ho ho! — zaśmiał się Franek bezczelnie.

— I mówię ci, że spokoju mi nie da i ani kieliszka wódki nie wręczy, ani na chrzciny ani mnie, ani ciebie do chałupy nie dopuści, jeśli cię nie wypiorę.

— Popróbujcie!

— Co tam durniu gadasz. Umówmy się lepiej, bo i ja chcę być na chrzcinach wnuka i to będzie djablo markotno, gdy wszyscy pić będą, ino ty jeden będziesz ślinę połykał, co ci się najwięcej należy.

Franek zpoważniał; zamyślił się i zaczął dłużyć w nosie, co już było u niego prawdziwego frasunku oznaką.

— Macie rację — odezwał się — ino jaki sposób?

— Ot — podchwycił Jabłoński — ja babie powiem, że cię siarczyście wylupił, a ty zrób tak, by baba uwierzyła.

— Mądrzyście! — zaśmiał się Franek wesołymi oczami, w których odbijał się podziw dla przebiegłości starego Jabłońskiego.

Wtem nagle się zamyślił, wlepiając oczy w karcznię, stojącą opodal, a twarz jego zdradzała, że coś kombinuje, co z zadowoleniem konstatował pastuch.

— Słuchajcie — odezwał się ciszej — nie spuszczać oczów z karczmy — widzicie? baba wasza podchmielona wyłazi od Srula. Ot bierzcie mój batóg i zaczynajcie mnie nim okładać. Ja zacząę się drzeć w niebogłósy i uciekać, a wy za mną gońcie, co wlicie... a baba, co na własne oczy zobaczy, to i ślepo da wiarę.

Podawał Jabłońskiemu, mówiąc to swój batóg i czekał tylko z widocznym zainteresowaniem do tej sztuczki, by podnieść krzyk i udać zaciętą bitwę. Jabłoński sekundę się namyślił i uchwyciwszy batóg zaczął wołać na cały głos.

— Ty zbój! ty wisielcu! — po czym schwywszy jedną ręką za kołnierz Franka, a okładając go drugą, zaczął obracać się z nim razem w kółko.

Frank darł się w niebogłósy i udawał, że się nie może uwolnić z ręki bijącego, a pastuch wpadł w ferwor i sam nie wiedząc o tem, coraz silniej uderzał po plecach chłopaka.

Wreszcie parobek uwolnił się od Jabłońskiego i stosownie do umowy, zaczął uciekać ku karczynie, a pastuch, co miał sił go gonił. Gonił go tak dobrze, iż w pogoni kilka razy go jeszcze skrobął batem przez plecy i to tak silnie, że Frank uciekając dybłą miał ochotę przystanąć i oddać razy Jabłońskiemu.

Wtem pod karczmą zaszedł niespodziewany wypadek. Jabłońska widząc, co się dzieje, wpadła w fer-

wor, uchwyciła drąg stojący przy drzwiach i pośpieszyła na pomoc Jabłońskiemu. Za ledwie zrobiła kilkanaście kroków, gdy spostrzegła biegnącego za nią Franka. Nie namyślając się długo, przystanąła i w chwili, gdy chłopak około niej przebiegał, podniosła ogromny drąg, który runął na plecy uwodziciela Iwaśki. Ten stanął jak wryty, a na obliczu jego odbił się groźny wyraz. Nie wiedział, czy pastuch go podszedł, czy wypadek tylko był sprawcą ostatniego dotkliwego uderzenia.

Chciał się rzucić na Jabłońską, ale baba podchmielona wywijając tak drągiem, że o śmierć nie byłoby trudno.

Wściekły Frank spostrzegł, że nie było rady, tylko uciekać, bo Jabłoński nadbiegał z jednej strony, a chłopci, zaalarmowani strasznym krzykiem baby, wychodzili z karczmy.

Zanim jednak ruszył dalej w ucieczce, która była konieczną, bo i Jabłoński, jakby zapomniawszy o umowie, z wzburzonym obliczem nadbiegał, zawołał ze wściekłym śmiechem.

— Babka bez zięcia! ha ha!

Po tych słowach, nie ruszył zaraz, jakby chciał jeszcze nasycić się ich wrażeniem.

Jabłońską podskoczyła ku niemu, wywijając drągiem, który kilka razy jeszcze zaczepił uciekającego Franka. Tego mu było za wiele.

Przystanął, zaryczał z bólu i wściekłości, i rzucił się nie zważając na latający drąg z szaloną szybkością na Jabłońską.

W jednej chwili wszczęła się bójka, w której udział wzięli wszyscy znajdujący się pod karczmą.

W sekundę utworzyło się zbiegowisko, z pośród którego wyłoniło się kilku parobków uprowadzających poturbowanego i zakrwawionego Franka, i wszystko ucichło.

Jabłońska jedna wskoczyła na kupę śmiecia, nagromadzonego pod karczmą, i wywijając drągiem zapłakana i zapieniona, wołała na cały głos.

— O Jezu! Matko Nazareńska! zbój ten! wisielec! szubienicznik! babka bez zięcia! Jezu! Matko Nazareńska! babka bez zięcia!! ha! ha;

A Jabłoński stał błądy i choć usta jego rysowały się do uśmiechu, robił smutną minę.

Strasznie go bowiem bawiła baba, wywijająca drągiem i wrzeszcząca, a z drugiej strony truchlał na myśl skutków tej umowy z Frankiem. Jabłońska przestała krzyczeć, gdy już żywej duszy dokoła nie było, tylko zgraja dzieci jej się przypatrywała. Wtedy zesza z kupy śmiecia i zbliżyła się do męża.

Dużo wlepiłeś mu? — zapytała.

— Ze dwadzieścia chyba! odparł pastuch blade, ale dziwnie przytem figlarny. Baba zmierzyła go od stóp do głów i długo mu się z nieokreślonym wyrazem na drwiących ustach przyglądała.

Wreszcie nic nie mówiąc, ruszyła z miejsca, ale nie do domu, tylko na wieś.

A za nią kroczyła gromadka dzieci różnego wieku.

Wszystkie wzajemnie sobie wciąż starą Jabłońską pokazywały i coś szeptały między sobą cichaczem.

Wyglądały głęboko przejęte widzianą sceną. A to ten. to ów dzieciak zagadywał drugiego.

— Babka przez zięcia... rozumiesz? co?

VII.

W chałupie, gdzie mieszkał pastuch, aż wrzało dnia tego, bo to Jabłońska wyprawiała chrzciny i sprosiła wiele znajomych z czworaków i ze wsi, bo lubiła poczęstować i upić się od czasu do czasu.

W ciasnej izbie natłoczyło się ludzi co nie miara,

Jedni wychodzili, drudzy wchodzili, a ci co nie znajdowali miejsca, stali pod domem i przez otwarte okno mieszały się do rozmów i śmiechów.

Wszystko to było już pod dobrą datą i zaledwie się na nogach trzymało.

Przy stole, na którym stała łożówka, oświetlająca zadymioną izbę, siedziała Jabłońska na wysokiej skrzyni. Trzymała w ręce butelkę i kieliszek i nalewała każdemu, kto chciał się jeszcze napić. Dokoła

niej to stało, to siedziało kilku gospodarzy, w wysokich baranich czapkach mimo letniej pory, i zabawiali ją rozmowę.

Jabłońska wyglądała rozpromieniona i szczęśliwa, ubrana była strojnziej, ale mimo to wyglądała mało co schludniej, tylko nieco młodziej niż zwykle. Kolorowa chusta rozwiązała się jej u szyi. na której kilka rzędów zatłuszczonych korali od kilku lat po raz pierwszy dnia tego ujrzało światło dzienne.

Jabłońska przytem starała się wyglądać godnie, jak przystało na babkę w tak uroczystym dniu, na poważną, z zamożności i gospodarności znaną parobczychę.

— Mój sołtysie, żebyście wiedzieli, co ja miała kłopotu — mówiła — z jegomościem i wikarym przy tych chrzcinach, to byście wiary nie dali, ale to niedaali...

— Opowiadajcież co takiego?

— Jezu! Matko Nazareńska, dyć nijak nie chciał mi ochrzcić chłopaka po imieniu jak wołałam.

— A jakżeście wy sobie urozumowali?

— Co ja chciałam, to chciałam, ale Iwaśka się uparła, by mu Franek było, a ja znowuszkę się uparłam by nie nosił imienia tego wisielca, co się z pod szubienicy wyrwał, Matko Nazareńska...

— No i co? co? gadajta....

— Dopiero Stypulina nas pogodziła, bo widzicie mądra baba wie, że nie jeden był święty Franciszek. Dyć jak zaczęła tych Franciszków wylizywać, to myślałam już, że skołowacuję Matko Nazareńska...

bo i taki, i owaki, i jeszcze siaki przeróżne przydawki... bo to Franciszków...

— No jakże waszemu?
— Z asyru... bo wisielec, co się z pod szubienicy urwał, widzicie mój sołtysie, ma Salezego, a moje wnuczátko, Matko Nazareńska, będzie... ino już jest z asyru. Co ja miałam kłopotu z jegomością, bo to ani organista, ani wikary nie mogli sobie przypomnieć takiego patrona.
— Z asyru? mówicie?
— Z asyru! z asyru.
— Ho! ho! rzadki patron — zamruczał sołtys.
— Znaliście takiego? gadajcie!
— Czego nie? Dyć dziedzic z Karnatowa to chyba z asyru... to pański patron! widzicie...
— Co toż tych świętych było, Matko Nazareńska, a dziwne też mają, przezwiska — mówiła dalej Jabłońska, ale urwała, bo kilku pijanych chłopów prosto na nią, ze dworu do izby się pakowało, a jeden z nich wołał.
— Słuchajcie Jabłońska, na sumienie, was prosim, byście Franka przyjęli.
— Franka? a gdzie on ten wisielec?
— Dyć na sumienie kręci się pod czworakami i przez okno zagląda.
— A szubienicznik! — zapieniła się baba.
— Ma racyję Gawron — odezwał się sołtys — jest gałgan, to się wie, ale ojciec Franka, i to się wie także, i na to nic Jabłońska nie poradzicie....

Dalej nie było słychać słów sołtysa, bo wrzawa zapanowała w izbie. Chłopi i baby prosili Jabłońskiej, by przyjęła i poczęstowała Franka, a ta ani słyszeć o tem nie chciała i wychodziła ze swej godności, pieniać się na wisielca, jak go zwała.

— Jezu, Matko Nazareńska! nie tłumaczcie mi, nie tłumaczcie mi! bo na nic wasze wstawiania się. Nie żal mi wódki, ani niczego, ale go ścierpieć nie mogę — odpowiadała pijanej zgrai.

Wszczął się okropny krzyk. Jedni byli za Frankiem, inni przeciw niemu. Jedni dowodzili, że się powinien ożenić z Iwašką, drudzy twierdzili, że gromada go powinna wypędzić ze wsi.

— Nie chcę ja go na zięcia — wołała płaczkliwym głosem Jabłońska, zagłuszając wszystkich — bo mnie nie umiał uszanować, ani mej starości, ani mych siwych włosów. Co wy myślicie, żeby mnie nie stać było na takiego zięcia? Dyć bym Iwaśce oddała jedną z trzech krowin i prosiaka, bo mam ich pięcioro, i w szmatach bym jeszcze zdysła co gotówki... ale nie! nie!

Dalej tłumaczono i proszono, ale Jabłońska była nieugięta.

— Jezu! Matko Nazareńska! — mówiła — nieszczęście się stało, to się stało, ale...

Nie skończyła, bo ją zagłuszali, tylko wyrzekła na szubienicznika i pieniała się, śmiejąc się mimo to rozweseloną od wódki fizyonomią.

VIII.

Powoli jednak zaczęła smutnieć, jakby ją wódka rozmarzała.

Cizba poobsiadała ławy i skrzynie, progi od komory i mieszkania. Każdy, gdzie mógł, szukał miejsca, by spocząć po półdniowej biesiadzie.

Nikt już do Jabłońskiej nie przychodził, choć ta wciąż siedziała na skrzyni z pełną butelką, wódki, a powoli coraz się ciszej robiło dokoła niej.

W tem zdawało się babie, że ją ktoś z domu nawołuje.

— Jabłońska, Jabłońska! — odzywał się cichy głos z za okna.

Baba poznała pokorny głos Franka, jak czasem bywało.

— Dyć Franek wisielec — zamruczała. Wstała. Zatoczyła się znowu i o mało nie upadła na leżącego w progu Gawrona, ale zebrała siły i wyszła na dwór.

Na świecie panowała ciemność i cisza, wszystko już spało w czworakach, tylko niedobitki gości jej, jeszcze stękali przy ścianach, to pod płotem.

— Franek! — zawołała baba.

W tejsze chwili stanął przed nią parobek, zjawiający się ni ztąd ni zowąd, w ciemności i mówił łagodnie.

— Dajcie mi się dyć na zdrowie Franka z asyru. Jabłońska ujął głos chłopaka. Nic nie mówiąc,

wyciągnęła z pod fartucha butelkę i podała ją chłopcu.

— Pij, a rażno, by mnie nikt nie zoczył z takim wisielcem, Matko Nazareńska!

Franek uchwycił butelkę i pił, nie odejmując jej od ust, aż była próżną.

Gdy ją skończył, oczy mu się tak zaświeciły, że Jabłońska w ciemności blaskiem swym uderżyły.

Oddając próżną butelkę babie, mówił stłumionym głosem, ale znacząco.

— Słuchajcie, Jabłońska! żebyście wypadkiem nie myśleli, że mnie Jabłoński wyprał?

— A co? — zapytała z trwogą.

— Takeśmy się ino umówili, że wasz mnie będzie gonil, a ja będę uciekał i darł się bez pamięci....

Jabłońska mimo to, że była pijaną, stanęła jak wryta, trzeźwiejąc natychmiast.

— Co ty gadasz? dyć sama widziałam.

— Ha! — zaśmiał się Franek — i myśleliście, że wasz....

— Dyć widziałam....

— Słuchajcie! — podchwycił Franek — dajcie mi rubla na drogę, bo idę w świat, to wam jeszcze coś powiem.

Baba zamyśliła się, ale po chwili z za koszuli wyjęła papierek i wręczając go chłopu, zagadnęła.

— No, gadaj prawdę.

Oczy Franka zabłyszczały swym zwykłym hultajskim wyrazem.

— Wzięliście batog, co mnie nim wasz okładał?

— A co? — zapytała, bledniejąc baba — mam go.

— Dyć to mój batog — zaśmiał się i ruszył z miejsca uradowany — przyjrzyjta mu się.

Jabłońska stała na miejscu i rozmyślała.

— Więc ją "jej" oszukał i nie obil Franka, a wziął za to dwa ruble i pozwoliła mu pić, co zechciał. Więc ten niedołęga był do niczego — myślała. Jeszcze się umawiał z Frankiem, by ją w pole wyprowadzić, a ona dała się złapać i sądziła, że jej mąż pomścił jej krzywdę i zniewagę, jakiej doznała, gdy ją Franek biczyskiem przez plecy raz uderzył.

Tak dumala pijana, a Franek w ciemności obserwował ją i uśmiechał się uszczęśliwiony, że znów klina wbił babie w głowę.

Ale ta stała nieruchoma, a on chciał już wyruszyć w świat dalej, czy też coprędzej jakiś plan swój skutecznic, ale wpierw chciał jeszcze pomścić się na Jabłońskim za te silne razy i wesoło opuścić Rozdoły wśród krzyku i kłótni, którą nad wszystko lubił, a teraz przeczuwał.

A tu kobieta zdawała się wahać. Franek więc zakrzyczał z pewnej odległości:

— Do widzenia wam, Jabłońska! a żebyście nie myśleli że wasz świniarz mnie wyprał, a batog wam zostawiam dla Franka z asyru... bywajcie zdrowi, babko bez zięcia ha ha ha!

Jabłońska zatoczyła się w ciemności, i stała jeszcze chwilę, krew jej uderzała do głowy, a wśród ciemności brzmiał tylko głos Franka.

— Babko bez zięcia ha ha ha!

Ochłoneła. Już miała powrócić do izby, gdy usłyszała głos Franka.

— A jak nie chcecie być babką bez zięcia, to dajcie mi krowę, prosiaka, trzy

papierki po dziesięć rubli to i waszego natłukę, co was omamił, i z Iwašką się ożenię.

— Wisielec — jęknęła baba — Matko Nazareńska! szubienicznik!! — krzyknęła głośniejsze.

— Babko przez zięcia ha, ha, ha! — brzmiał głos Franka już zdala.

IX.

Na drugi dzień rano, choć słońce już bardzo wysoko się wzniosło, Jabłońska leżała na piecu i jęczała. Bo ją nad ranem straszny spotkał wypadek. Chciała obić "swojego" za okłamywanie jej, ale ten pijany, zdobył się pierwszy raz w życiu na odwagę i ją straszliwie poturbował. A bijąc, wołał "Stara sknero! będziesz się chłopa bić i czypiać, ty babko bez zięcia!" Jabłońska słyszała jeszcze głos jego i te słowa jej brzmiały w uszach.

A Iwaška leżała na tapczanie i słuchała, jak wciąż stara jęczała do Matki Nazareńskiej. Tak mijały godziny. Nagle odezwał się głos słaby z pieca.

— Iwaška....

— Matulu... co wam?

— Ja prędko umrę od tych razów.

— Co wam tam będzie?

— A jeślibym od razów, Matko Nazareńska, nie umarła, to umrę z żalości....

— Czegósik?

— Że mego, tego łotra, ubić na śmierć nie mogę. Matko Nazareńska! Mówię ci, Iwaška, że jak kto mnie nie wyreczy, to sobie żywot odbiorę, to się zagryzę, i zapiję.... On się śmiał targnąć na moje stare kości.... Matko Nazareńska.... Gdyć on tak raz spróbował, to....

Urwała i umilkła — i znów zapanowała w izbie cisza. Przerwała ją Jabłońska w chwili, gdy Iwaška myślała, że usnęła, bo już ani jęczała, ani wzdychała.

— Tak być nie może! — zawołała ochrypłym głosem stara.

— A co?

— Masz siły by się zebrać?

— A ino.

— To pójdz do sołtysa, niech duchem przychodzi. Sprawiedliwość mieć muszę. Matko Nazareńska! I zbója na zbója....

Umilkła, a Iwaška blada, z trudnością zebrała się i wyszła.

X.

Wróciła z sołtysem.

— Jabłońska! A gdzie wy? — odezwał się tenże, wszedłszy do izby.

— Tutaj, Matko Nazareńska.

— Czybyście już myśleli umierać?

— A juścić. Stary mnie poturbował, tak poturb....

Sołtys przerwał jej śmieciem.

— Ha, ha! trudno dać temu wiary. Należało się wam, boście jego nie jeden raz...

Jabłońska zerwała się na piecu i podchwyciła.

— Nie mówcie kumie, nie mówcie, bo jak się zawezmę, to choć Matko Nazareńska.... to jak wstanę....

Urwała i zaczęła.

— Słuchajcie. Franek wisielec! widzieliście go ta?

— Poszedł.

— Mat... Naz... ach! Idźcie, kumie, do Moszny, ino duchem.... On jeszcze będzie

u kowala spał na strychu. Obudźcie go i powiedzcie mu, że się urwał z pod szubienicy... ale Bóg mi świadkiem, że ja ubić starego

siły nie mam, ani sprawiedliwości uczynić za moją biedę... tyle lat, Matko Nazareńska.... Żeby on śmiał mnie okłamywać. Wydarzył odemnie dwa ruble...

— Kto?

— Jabłoński, Matko Nazareńska — odparła baba i ciągnęła. Powiedzcie Frankowi, by wracał. Dam mu czarną krowinę, wieprzka, co mu psy dworskie ogon ujadły, Matko Nazareńska, i trzydzieści rubli i... i... wesele wyprawię.

— Wy rzetelnie mówicie? — zapytał zaciekawiony sołtys.

— Jak Jabłońska mówi, to kiejby Matka Nazareńska. Idźcie duchem, bo się powlecze wisielec... Iwaśki mi szkoda... i tak obmyśliłam.

— Więc idę! — zapytał jeszcze sołtys.

— Idźcie! byle zaraz wracał. Zaraz dziś wyprawię Zrękowiny.

— Tośta się rozochocili! — bąknął, zmierzając ku drzwiom sołtys.

— Matko Nazareńska! westchnęła na piecu Jabłońska.

I nastąpiła głęboka cisza po wyjściu sołtysa. Iwaśki oblicze zdradzało niedowierzanie, ale jaśniało szczęściem. Czekwała niecierpliwie, by się matula odezwała i wytłumaczyła jej swoje nadzwyczajne postanowienie.

W godzinę dopiero ruszyła się Jabłońska na piecu, rzeżko z niego złącząc i mruczając.

— Dam ja ci.... Popamiętasz, ty niezdarco świntuchu! Nie darmom chowała w szmaty... Za rubla to cię tak wylupi.... Matko Nazareńska... Iwaśka!

— A co matulu?

— Słyszałaś, com mówiła?

— A ino.

— Żeby mnie Franek pomścił....

— Oho!

— To jeszcze w szmacinach i na sukmanę do wesela znajdę, Matko Nazareńska.

KLACZ MOJA "ISKRA. "

(Wspomnienie jednorocznego.)

Prawo okropne dla wielu, postanawiające, że każdy musi odbyć choćby rok czynnej służby, dopiero co wyszło.

To, co niektórym wydało się straszem, podobało się przez swoją nowość innym. Do tych i ja należałem; niebieski mundur, brzęczące ostrogi, od czasu do czasu uderzający pałasz o bruk uliczny, koń wierzchowy, pewien urok, jakim w oczach wielu otoczeni są wojskowi, były to błyskotki i pokusy, wobec których wszystkie cierpienia, ranne wstawanie i niewygody malały, nawet w oczach nie mającego zamiaru poświęcić się stanowi wojskowemu.

Nie pamiętam już, którego roku, dość, że z mlekiem pod nosem stanąłem do assenterunku.

Miałem jakiś defekt w nodze: doktor zauważył, że stosunkowo do mego wzrostu, mam za wąskie piersi, lecz wobec widocznej mojej ochoty, komisya uznała mnie zdatnym i na pamiętny dzień -go października dostałem rozkaz zameldowania się do czynnej służby.

Nastąpiło rozczarowanie, na które jednak już nie było lekarstwa. Nie wyliczyłbym wszystkich nieraz komicznych wypadków, które się odbijały na mojej skórze, a wzbudzały śmiech starszych żołnierzy.

Z natury roztargniony i zawsze nad czymś zamyślony, z usposobieniem, kwalifikującym się do każdej innej kariery, byle nie wojskowej, popełniałem co chwila coś przeciw przepisom, najniewinniej byłem posądzany o rzeczy, które mi przez głowę nie przechodziły.

Ponieważ jednak ten rok był również, jak śmierć, nieuniknionym, widząc moją naturalną do wojskowości nieudatność, postanowiłem "faire bonne mine au mauvais jeu, " i formalnie zachorowałem na patentowanego kawalerzystę.

Dziś tłumaczę sobie to tem, że człowiek z natury jest najdrażliwszym na punkcie tych czynności, do których czuje się najniezdolniejszym. Dość, że po upływie pół roku czynnej służby, zacząłem wbrew zasadzie wielkiego filozofa: "surtout pas trop de zèle" pozować na zapalonego żołnierza — pozować mówię.

Pałasz cięższy i grubszy od zwykłych i tak ciężkich, ostrogi o dwa razy tak szerokich kółkach, jak być powinny, buty najwybredniejszych fasonów, laseczki srebrem kute, były przedmiotem mych zabiegów, będąc nieraz powodem gorzkich napomnień ze strony wyższych.

Miałem konia rządowego, na którym musiałem, jeździć codzień na ujeżdżalni, prócz tego jeździłem na innych koniach rządowych, już to dla wprawy, już to dla.

zdrowia koni, których jeźdźcy byli chorzy lub nieobecni, dość, że "ex officio" nieraz siedziałem do sześciu godzin na koniu, bez przerwy.

Nadto miałem swojego własnego wierzchowca, na którym jeździłem w wolnym czasie.

Niedość mi było na tem, gdyż zachorowałem na zawziętego kawalerzystę.

Dowiedziawszy się, że jeden z rotmistrzów mego pułku formalnie z konia nie schodził, kupiłem sobie kasztanową klacz, dziką, w czwartym roku, z pewnej renomowanej stajni, której dałem nazwisko "Iskra", nazwisko, jak się później pokazało, bardzo odpowiednie, i której to klaczy niefortunne ze mną przygody opisać zamierzam.

Z kolegą moim, dziś poważnym, żonatym obywatelem, wówczas podobnym do mnie smarkaczem, panem Z. z wielkim tryumfem wprowadziłem do stajni "Iskrę", cudownych kształtów kobyłę.

Tresura szła nadszpedziewanie szybko i łagodnie; Iskra poddawała się rosnącym codzień moim wymaganiom, zapewne by spróbować, jak daleko one pójdą. Nie przestraszała jej lokomotywa, ani szyny, ani ruch miejski, ani żadne z tych rzeczy, które zwykle straszą młode konie.

Tryumfowałem i nie raz dawałem do zrozumienia kolegom i starszym, że tylko moim wyborynym systemem jeżdżenia do takich i tak szybkich można było dojść rezultatów; uważałem się za najlepszego swego czasu jeźdźca i z lekceważeniem spoglądałem na

tego, kto kiedykolwiek o moich zdolnościach znakomitego jeźdźca powątpiewał.

Pod ten czas nadszedł rozkaz i mnie dotyczący, wymaszerowania na większe ćwiczenia o kilka mil od miasta, w którym mą służbę odbywałem. — Iskra wyruszyła ze mną. — Po kilkodniowych większych manewrach stanęliśmy w miasteczku, leżącym w jednej z ładniejszych i ludniej szych okolic Galicyi.

W sąsiedztwie mieszkał hr. K., niegdyś major od huzarów, zapalony kawalerzysta, człowiek wesoły i złośliwy, lubiący mundur i żyjący przeważnie z wojskowymi.

W niedzielę oficerowie mego pułku licznie się u niego zgromadzali — do zapraszanych i ja należałem.

Pewnej niedzieli, wiedząc, że liczniejsze grono, jak zwykle, wybrało się do hr. K, postanowiłem zaprodukować mą "Iskrę" i na niej w krótkim galopie dziś się jeszcze widzę podjeżdżającego pod napelniony różnej rangi oficerami ganek.

Klacz parszkając, doskonale z lewej nogi zaskoczyła i pod gankiem osadzona, stanęła.

Wybiega na schody hr. K.; przypatrują się oficerowie i damy, jedni chwalą, drudzy milczą, inni się dopytują, a ja zaczynam chwalić Iskrę i pośrednio siebie, jako znakomitego jeźdźca... i nie uważam, jak klacz z głową do góry podniesioną, strzyżąc uszami i kopiąc prawą nogą, wpatruje się w stronę stajni, leżącej tuż pod domem między klombami.

Hr. K. prosi, bym ja krokiem, a potem klusem przejechał około gazonu.

— Chętnie — odpowiadam i ruszam z miejsca; jadę — na skręcie do stajni, którą dopiero teraz zauważyłem, moja "Iskra" tak wyśmienicie wyjeżdżona, usiłuje skręcić, było to na lewo — daję prawa łydkę i przyciągam prawy cugiel, a Iskra staje prosto jak świeca. — tracę przytomność, a gdy ją odzyskałem, usłyszałem za sobą na ganku głośny śmiech i zauważyłem, iż sam w arcyśmiesznej pozycji siedzę na środku piaszczystej alei bez czapki, a moja "Iskra" spokojnie w stronę stajni maszeruje. Okropność! — dzień to był dla mnie straszny, — pospolita wesołość zgromadzonych gości dotąd wywołuje we mnie oburzenie, — przecierpiałem jednak wszystkie przymówki, postanawiając wszystkich o moim systemie ujeżdżania przekonać. Minęło parę tygodni, wciągu których dniami całymi męczyłem się z mą kasztanką, która o ile była potulną, o tyle teraz się odbijała, — i ile razy na swoim postawić nie mogła, tyle razy wspinała się dęba, i mnie za sobą zostawiwszy, w swoją stronę maszerowała.

Narów ten był tem straszniejszy że, jeśli chciałem równie, jak ona, być upartym, to przewracała się ze mną w tył, co nie jest, zaręczam, ani przyjemnem, ani bezpiecznem.

Po kilku tygodniach takiej pracy zdawało mi się, że już "Iskra" z tego narowu wyszła i zacząłem śmiało o moich zdolnościach sportsmeńskich i Iskrze mówić.

— Jakże pańska kasztanka — zapytał mnie w wilję wielkich manewrów mój bezpośrednio przewodniczący oficer.

— O! już zupełnie uspokojona — odrzekłem z pewnością siebie zastanawiającą...

Na drugi dzień — o -ej rano gotował się cały pułk, gdyż były zapowiedziane wielkie ćwiczenia ze współudziałem artyleryi, piechoty, kilku głównych dowodzących i arcyksiążąt.

Przyszedłszy do kazarm, dowiedziałem się, że mój rządowy koń zachorował i w nadziei, że to mnie uwolni od męczących tego dnia, przy sierpniowym upale ćwiczeń, pospieszyłem zameldować wypadek memu oficerowi,

— O! to nic nie szkodzi — odpowiedział tenże z najzimniejszą krwią — możesz pan dzisiaj jeździć na swojej kasztanowatej klaczy, wszak już ujeżdżona.

Mrowie po mnie przeszło — ale nic nie odpowiedziałwszy, oddawszy ukłon wojskowy, odszedłem, by Iskrę na wielkie ćwiczenia przygotować.

Złą już wróżbą było, gdym wsadzał na nią nie znaną jej dotąd, przepisaną kulbakę, która się jej nie podobała.

Z wielkim strachem stanąłem w szeregu lecz "Iskra" poddawała się obcym jej dotąd, a przepisany wymogom.

Wyjechaliśmy za miasto i udana wojna roztoczyła się przed naszymi oczami w całej świetności.

Jenerał wydawał rozkazy oficerom, którzy z nimi powracali do swych oddziałów.

Ja, jako prosty żołnierz, stałem w szeregu, pełniąc służbę kaprała, a często używany do ważniejszych rzeczy przez wzgląd, że za parę tygodni miałem zostać oficerem.

Mój oficer, wróciwszy z rozkazem, zawołał na mnie; — podjechałem.

— Weźmiesz pan ze sobą sześciu ułanów — i gościńcem prowadzącym do W. będziesz się posuwał o parę tysięcy kroków przed kroczącą za panem armją, będziesz dobrze uważał i o każdym podejrzany ruchu nieprzyjacielskim donosił, jako też o

przeszkodach, jakiebyś na drodze spotkał; pamiętaj pan, że kilkotysięczny oddział posuwa się z armatami i taborem i że nieuwaga z twojej strony może narazić armję, lub oddać ją w ręce nieprzyjaciela.

W kilka minut potem jechałem z przydanymi mi jeźdźcami gościńcem szerokim i prostym, jak linja, prowadzącym do W.

Na lewo i na prawo ani śladu nieprzyjaciela, tylko widać było posuwające się nasze boczne patrole; zakomenderowałem kłusa, chcąc zyskać na czasie i trafić na jaką przeszkodę, o której bym mógł zdać raport. Gościniec biegł w prostej linji trochę pod górę, na której znajdował się rodzaj zagajenia. Jechaliśmy wyciągniętym kłusem, by odpocząć w owem zagajeniu, skąd i widok na okolicę i nieprzyjaciela był łatwiejszy. Już prawie byliśmy u celu, o jakie kroków od szczytu zagajonego pagórka, gdy się rozległ okropny huk i równocześnie doznałem podobnego, co pod gan-

kiera hr. K. wrażenia. Gdym oprzytomniał, znalazłem się leżącym na środku gościńca.

Z zagajenia wychodził gęsty dym, ani śladu mojej "Iskry", ani -ciu dodanych mi żołnierzy. — Z zagajenia zdawał się mnie dochodzić podobny do tego, com słyszał na ganku, śmiech. Zerwałem się, wybiegłem na pole, leżące znacznie wyżej niż gościniec, na które pod bardzo ostrym kątem trzeba się było wdrapać, i o dziwo! ujrzałem w pełnym galopie uciekających moich żołnierzy, a za nimi biegnącą, parskając i targając cugle "Iskrę".

Domyśliłem się, że baterja nieprzyjacielska stała w zagajeniu a widząc -ciu kawalerzystów tuż pod sobą, dała ognia, który ogłuszył ludzi i przestraszył konie.

W oczach mi stanęła cała okropność wypadku: "Iskra" galopująca przez cały czas trwania ćwiczeń między oddziałami i bałamucąca porządek; "Iskra" znana, a więc i poznawana, słyszałem narzekania oficerów, śmiechy żołnierzy "o! spadł jakiś ułan", "spadł ochotnik X. ".

Tak dumalem, nie wiedząc, co począć, z dobre pół godziny, gdy mnie doleciało echo trąbki, — to armia się posuwała, na której zabezpieczenie byłem wysłany, — trąbka dawała się słyszeć coraz bliżej — armia nie wie o stojącej baterji w zagajeniu — trzeba zameldować — biegnę więc na spotkanie posuwającej się siły, lecz znów staje mi przed oczami cała śmieszność sytuacji, — kawalerzysta, właściwie poległy, zdający piechotą raport,

uśmiechy mych kolegów i oficera, którego zapewniłem o ujeżdżeniu Iskry.

Co z sobą począć? — wałęsać się po polach, po których co chwila nowe przebiegały oddziały piechoty i konnicy, i zwracać uwagę wszystkich na siebie, — narażać na pośmiewisko i tak już dobrze ośmieszony stan ochotników? — nie, nigdy.

Po tej konkluzji nie było innej rady, jak wyszukać sobie spokojne, ukryte miejsce, które znalazłszy, przesiadziałem w niem od -tej rano do -tej popołudniu, chwili ukończenia ćwiczeń wielką przegraną, ze strony moich, których główne siły wpadły niespodzianie na nieprzyjacielską baterję, — dzięki ochotnikowi wysłanemu na zwiady.

Na drugi dzień cały wypadek był głośny, a ja gorzkie usłyszałem kazanie od oficera, który jeszcze bardziej gorzkie usłyszał wyrzuty, że takiemu, jak ja, niedołądze, powierzył zabezpieczenie tak znacznej siły.

Wypadek był zbyt komiczny i głośny, bym go mógł naprawić; — trzeba było pożegnać się z myślą ustalenia swojej i Iskry, w wojskowej karierze, reputacyi, jednak nie można było po kilku przegranych otwarcie się cofnąć.

Z wielkim więc strachem wobec wzrastających narowów kasztanki, jeździłem na niej, na niej przeważnie.

Wielkie ćwiczenia się skończyły, oddziały wyruszyły do miejsca swych przeznaczeń, a nasz oddział stanął w miasteczku W.

Jeszcze tylko kilka tygodni miałem służyć i te ostatnie dni były spokojne, gdyż ćwiczenia ograniczały się na kilku rannych godzinach, poczem będąc wolny, jeździłem do kilku sąsiednich, bardzo przyjemnych domów.

W tych wycieczkach "Iskra" nabrała prócz kilku dawniejszych, jeszcze nowego narowu, który podobnie jak poprzednie, dał mi się nie raz we znaki.

Tuż pod W. leżał majątek pana B. z ślicznym parkiem i pałacem. — Pan B. miał córkę, blondynkę, świeżą, wesołą, lubiącą konie i jak wszystkie kobiety — mundur.

W dwudziestym roku, każda świeża twarzyczka robi na nas jakieś wrażenie, którego wszystkie odcienia trudno byłoby zdefiniować. Me jest to miłość, lecz coś więcej niż sympatya, jakaś chęć niepohamowana podobania się, zawiązania choćby niewinnych, więcej sentymentalnych stosunków.

Pannie B. "Iskra" się podobała, głaskała ją po grzywie i czole, raz nawet pocałowała w zabelony pysk, a ile razy na drugim mym koniu przyjechałem, wyrażała żal, że nie na "Iskrze".

Tem mnie zupełnie ujęła i jeśli dotąd starałem się pannie B. podobać, to teraz zacząłem wmawiać w siebie, że jestem zakochany i marzyć o wzajemności.

Bóg wie, co roilo się po głowie jednorocznego popisowego, gdy nieprzywidziany wypadek, dzięki "Iskrze", położył wszystkiemu tamę. — Z kolegami również jednorocznymi byłem na herbacie u państwa B.

— Czemu pan nie przyjechał na swej... jak się nazywa no... zapytała panna B. "La femine de feu" — odpowiedziałem tłumacząc na francuzki "Iskrę", — i pomagając sobie romansem francuzkim.

Interweniował mój przyjaciel p. Z. — dodając.

— Boi się w nocy na niej jeździć, a ponieważ dziś byliśmy proszeni na wieczór, więc Iskrę zostawił w domu.

— Boisz się pan? — zapytała, robiąc zdziwione oczy panna B.

Protestowałem — ale koledzy moi, wpadłszy na ulubiony temat, stanowczo twierdzili, że się fatalnie boję, i dowodzili swych twierdzeń różnymi wypadkami i okolicznościami.

— I pan się nie bronisz? pytała panna B.; obracając się do mnie, a była dnia tego bardzo ładną.

— Czyż potrzeba obrony? — zapytałem z ironicznym uśmiechem, ruszając ramionami...

Pan B., który przez czas trwania tej rozmowy czytał "Czas", zauważył moje lekkie rozdrażnienie z powodu żartów kolegów, i znów nieszczęśliwie dla mnie wtrącił:

— No o cóż chodzi — przyjdźcie panowie jutro na herbatę, a pan — obracając się do mnie — przyjedź na tej sławnej Iskrze i udowodnisz, ręczę, że się nie boisz.

— Najchętniej — zawołałem uradowany zaproszeniem — spoglądając na pannę B. która spuściła oczy, co także podchlebnie sobie tłumaczyłem.

Ostatnimi czasy nowo nabyty narów "Iskry" polegał na tem, że najspokojniej pozwoiliwszy wsiąść na siebie, ruszała z miejsca piekielnego galopa, z którego już to później, już to wcześniej, przechodziła w zwykłe tempo.

Okolo godziny -tej wieczorem jednego z tych tak pięknych u nas dni wrześniowych, wyruszyło nas kilku konno z W. do państwa B. — Ja na "Iskrze", która była łagodną, w drodze skakała wyśmienicie przez rowy i przeszkody.

— Więc pan dotrzymał słowa — przywitała mnie jeszcze piękniejsza niż dnia wczorajszego panna B. schodząc z werandy, by pogłaskać kasztanek.

Okolo godziny jedenastej kazaliśmy podprowadzić konie, by powrócić do W. Już siedział na koniu mój kolega Z.; dosiadł konia wielki przyjaciel, choć złośliwy, artysta i żołnierz pan H., gdy ja rzuciwszy ostatnie czułe wejrzenie w stronę

stojącej na ganku i wspartej na ramieniu ojca panny B., uchwyciłem cugle "Iskry".

Jeszcze dobrze nie siedziałem na siodle, gdy Iskra szalenię, niż kiedykolwiek ruszyła z miejsca, tak że czapka moja w tej chwili zleciała, poczem znowu doznałem tego samego, co pod gankiem hr. K., wrazenia i oprzytomniałem dopiero pod roгатką, leżącą o jakie parę tysięcy kroków od pałacu pana B. Ale oprzytomniałem w jaki sposób? — Iskra, ruszywszy w szalonym pędzie, dobiegła do roгатki, gdzie widząc przeszkodę (rogatka bowiem była zamknięta wobec spóźnionej pory)

stanęła jak wryta, a ja zleciałem przez łeb, zawadzając o belkę roгатki dobrze potłuczony.

Iskra natychmiast się uspokoiła i krokiem obeszła przeszkodę, zrywam się, by ją pochwycić, już ją trzymam, lecz wyrwała mi się i galopem uciekła do domu. Fatalna pozycja — piechota wracać do domu, a tu dobre trzy ćwierci mili i ciemna noc — piechota i bez czapki, jak jaki pijak — nie podobna. — Pograżony w tego rodzaju myślach kroczyłem bokiem gościńca. Za sobą usłyszałem tentent kłusujących koni; byli to moi koledzy, lecz zatrzymać ich nie chciałem, żaden by mi konia nie odstąpił, jeszcze by mnie wyśmiał. Dojechali do roгатki, wesoło rozmawiając. — Otwieraj — zawołał jeden z nich na żyda, który rozespany niebawem wyszedł z latarką. Usunąłem się na bok, zatrzymując oddech.

— Dawno tu przejechał pan X. — zapytał Z.

— Nu — co — gdzie — nikt tu nie przejechał — wołał rozespany żyd.

— No, to chyba przeskoczył — zawołał H. — paradna historia! jutro wyrysuję X. przeskakującego w nocy roгатkę.

Zaśmiał się Z. i Y. — i ruszyli kłusem dalej.

Gdy już byli daleko, zacząłem rozważać nad przykrem położeniem i szedłem wolno naprzód. Dla czego miałem się spieszyć? na tą rano zawsze zaciągnę do W. — pomyślałem.

Więcej mnie obchodziło, jakie wrażenie na pannie B. zrobiła komiczna historia.

Przypomniałem sobie maksymę dość starą "le ridicule tue l'amour" i pograżyłem się w zadumie której rezultat osiągnę tuż pod W. w kształcie wątpliwości, czy mogę się jeszcze pokazać u państwa B. — a w tej chwili zdawało mi się, że szalenie kocham pannę B.

Pod W. nowa się przedstawiła trudność, jak wejść do miasta bez czapki, z narażeniem być zatrzymanym przez policję, czuwającą na porządku publicznym i zatrzymującą podejrzone figury.

Aby dojść do ulicy, na której mieliśmy kwaterę, trzeba było przejść przez całe miasto, co było niekoniecznie bezpiecznym; postanowiłem więc całe miasto obejść dokoła, łąkami je otaczającymi, i w ten sposób dostać się wprost z łąk na ulicę, przezemnie zamieszkaną.

Gdy jednak po niezliczonych przeszkodach, jak rowach, bagnach, któremi były poprzerzynane łąki, dostałem się do dzielnicy upragnionej, zaczęło świtać i ruch się pokazywał w miasteczku.

Nad moje siły było bez czapki defilować przez ulicę, na której mnie wszyscy znali i mną, jak zwykle w małej mieścinie, się interesowali.

Stanąłem na moście, od którego już tylko kilkadziesiąt kroków miałem do mieszkania, rozglądając się czy będę mógł niepostrzeżony się prześlizgnąć, a trzeba dodać, że rachowałem na jakiś szczęśliwy zbieg okoliczności, który by mi pozwolił okłamać kolegów i moje smutne przejścia okryć tajemnicą.

W tem rozległ się cichy śmiech za mną, — obracam się zdziwiony i widzę śliczne

dziewczę letnie o czarnych oczach, filuternym uśmiechu i pełnej życia fizygnomii, — była to córka właścicielki domu vis-a-vis mojego mieszkania, osoby niesłychanie surowych obyczajów, które miałem sposobność poznać, gdym zaraz po wprowadzeniu się na ową ulicę różnych sztuk używał, by zawiązać znajomość z ładną dziewczyną, śmiejącą się za mną w tej chwili.

— Panna... — wybełkotałem, nie ochłoniwszy z pierwszego wrażenia...

— Gdzie się tak pan powalał — zapytała przeciągając słowa, głosem czarującym, z uśmiechem tak filuternym i wyrazem, tak przyjemnym, że zapomniałem o miłości, jaką pałałem do panny B.

— Powalał? — zapytałem, oglądając się — powalał — prawda... rzeczywiście fatalnie byłem powalany na całym lewym boku.

— Panienska tak rano wstaje? — zapytałem.

— Cóż pan tak rano tu robi, bez czapki... i znowu śmiać się zaczęła.

— Spadłem z konia, zgubiłem czapkę, błądziłem przez całą noc i teraz do domu wrócić nie mogę.

Posmutniało dziewczę.

— Gdyby pan naprzeciwno nas nie mieszkał, tobym panu czapkę przyniosła, ale tak, to nie mogę, bo jakby mama zobaczyła.

— Bardzo dziękuję, ale sobie dam jakoś radę — odpowiedziałem — przysuwając się nieznacznie do dziew-

częcia, i dziękując opatrności za śliczną sposobność zawiązania znajomości, która dwa tygodnie temu była mojem marzeniem.

— Ach, jaki pan powalany — zawołała, załamując ręce — gdym się przybliżył — tak pan nie możesz wrócić do domu.

— Cóż pocznę ?

— Ja pana otrzępię — zawołała — podchodząc i śliczną rączką, choć opaloną, strzepywała kurz, który kilka godzin przedtem, może był błotem.

Ogromnie żałowałem, że się cały dobrowolnie nie umazał w jakiej kałuży, tymczasem coraz to nowe zapyłone, miejsca pokazywałem na moim mundurze, a gdy już widziałem, że czyszczenie ma się ku końcowi, pochwyliłem rączki, objąłem wysmukłą kibić i mimo silnej protestacją zawiązałem upragnioną znajomość węzłem jak na początek dość silnym, bo kilkoma całusami.

Dziewczę się wyrwało... i odbiegając niby zachmurzoną — zawołała — już panu nigdy nie pomogę i pobiegła ku domowi. Uczułem się jakoś silniejszy na duszy i śmiało kroczyłem środkiem ulicy do mieszkania, gdzie mój groom już czyścił konie, a mianowicie "Iskrę" która prawdopodobnie nie błądziła, lecz i też — pomyślałem, — tak miłego nie miała spotkania. Śmiało wszedłem do sypialnego pokoju, gdzie nas trzech stało. Obudzili się Z. i H. — i zaraz śmiać się zaczęli.

— Paradna historia — wołał Z.

Eine famöse geschichte — dodał H.

— Ciekawym, który z was na mojem miejscu... Nie pozwolił mi dokończyć H.

— Ale widzisz, mój kochany — zawołał — panna B. o mało nie umarła ze śmiechu.

— Jakto, śmiała się? mimowoli zapytałem.

— Śmiała się? nie tylko że śmiała się lecz spazmów dostała, bo to było paradne widzieć, gdy kobyła z podniesionym ogonem dmuchała, a ty na niej zgarbiony siedziałeś bez czapki; pałas w powietrzu- i to wszystko przy świetle księżycy, było, mówię ci, paradne.

— Paradne powtórzyłem.

— Wczoraj w nocy zaraz to narysowałem — masz tam karykaturę na twoim biurku, ofiaruj ją, pannie B., — ciągnął dalej, wyciągając się na łóżku.

— Możesz ją sam ofiarować — odparłem urażony.

— O! ofiaruję, jedną zrobiłem, ale zrobię drugą i trzecią i czwartą i dziesiątą, bo to paradna historia, zrobię sto kartonów i dam tytuł "przygody

jednorocznika" lub "Iskra" lub "Bereiter i jego wierzchowiec" roześle egzemplarze — albo nie, tobie dam oryginał, a każę fotografować kopje — każdy jednoroczny kupi sobie egzemplarz i to będzie dzieło, a Z. wierszami opisze, — to będzie...

— Arcydzieło — dodałem już do ostateczności doprowadzony.

H. dalej ciągnął tamsamym tonem. "W dwudziestym roku życia tak łatwo się poróżnić! — Z żartów

zrobiła się sprzeczka i doszło do ostrych przycinków; koniec końców z powodu Iskry poróżniłem się z przyjacielem, który mi nieraz dał dowody życzliwości i w którego towarzystwie spędzałem najprzyjemniejsze chwile, ubarwione jego talentem i artystycznymi poglądami jako też oryginalnym sposobem zapatrywania się na rzeczy tego świata.

"Panna B. się śmiała — umierała ze śmiechu" — te słowa mi ciągle szumiały w uszach — naturalnie, że się śmiała, ale z kogo się śmiała itd. itd. nieskończone w tym rodzaju kombinacje.

Panna B. się śmiała, ale... Violetta (tak ją nazywałem nie znając imienia) się nie śmiała, owszem widziałem w jej oczach rodzaj współczucia, otrzepała mnie ba!., więcej, w pocałunku coś mi się wydało, jak gdyby mnie także... pocałowała — może mi się zdawało — dość, że Violetta despotycznie zajęła miejsce panny B. Violetta mieszkała z matką w małym parterowym domku vis-à-vis mojego mieszkania. Trzy okna niskie, a duże, niskie, bo znać dom był stary, drewniany, zapadnięty, a nowo wybudowany gościniec jeszcze go obniżył, dość, że okna były tak niskie, że raczej na drzwi wyglądały.

Jak tylko zająłem moją kwaterę, zauważyłem Violetkę, która miała cały ogród w framugach okien; były to kwiaty w doniczkach, między nimi dużo pną-

cych się bluszczów, które na palikach, patyczkach pouczepiane, szły w górę prawie do wysokości okna.

"Violetta" je podlewała, układała, około patyczków obwijała pnące się rośliny. — Tak zatrudniona, ja. poznałem zacząłem wysiadywać w oknie, robić słodkie oczy, jak mówił Y. które były przyjmowane przez jakiś czas.

Razu jednego zacząłem rzucać cukierki, mierząc w okno Violetty, — pierwszy jednak cukierek, który wpadł między doniczki, wywołał widocznie wzburzenie wewnątrz mieszkania, pokazała się bowiem surowa postać mamy, która rzuciwszy na mnie srogie wejrzenie, z łoskotem zatrasnęła okno — poczem między kwiatami silnie gestykulowała.

Od tego czasu wystarczało, bym się w oknie, lub na ulicy pokazał, aby owa sroga matka, nie znająca praw -tu lat zamykała je z coraz silniejszymi gestami ze szkodą, starego okna.

Tak minęło dwa tygodnie aż do dnia spotkania na moście, które, miałem nadzieję, stanowczy wywrze wpływ na moje z Violetką stosunki.

W -tym roku życia tak łatwo się zakochać, Guffczyński powiedział, że parę czarnych oczu dopełni zadania; romansopisarz francuzki przypisał spódnicy — samej spódnicy! — ten sam czarodziejski wpływ na młodzika, cóż więc dziwnego, że się zakochał w Violecie, której rozliczne wdzięki i czarne oczy figlarne, i ząbki białe i różowe usta, i krucze włosy napróżno bym się starał opisać.

Zacząłem uparcie przesiadywać w oknie, tak uparcie, że matka Violetty, chcąc czasem odetchnąć świeżym powietrzem, do tego stopnia zobojętniała, iż widząc mnie naprzeciw, nieraz sama okna otwierała. W przeciagu kilku dni wytrwałem i nie dającej się zniechęcić pracy, doszedłem do świetnych rezultatów, które jak wszystkie owoce ziemi uprawianej, rosły z dnia na dzień. Violetta zaczęła więcej niż ja przesiadywać w oknie; wracając z ćwiczeń, zastawałem, ją na posterunku.

Stosunki były coraz głośniejsze; dawała mi znaki, czy kto jest w pokoju, czy nie, a gdy była sama, zaczynała się cała konwersacja na migi, przez obie strony doskonale zrozumiana.

Natura pcha człowieka do żądania coraz więcej; Violetta nie mogąc, czy nie chcąc zrozumieć, czy też już znudzona migami nie koniecznie dla wyobraźni wystarczającymi dała mi znak, bym pisał to co mi z taką trudnością przychodziło wyrazić gestami.

Nie potrzebowała dwa razy mi tego pokazywać, zaraz wystosowałem list, w którym słowami dobranymi, opisywałem wszystkie moje męki itd. itd.. Nie potrzebuję go powtarzać, gdyż listy -letnich zakochanych są bardzo do siebie podobne.

List ten posłałem przez mego chłopca stajennego, poleciwszy mu najsurowiej dyskrecję, i nauczywszy go, jak ma postąpić, by nie być widzianym przez kogo w domu.

Sam zaś, a było to w drugiej połowie września, około -mej godziny w wieczór, zająłem miejsce w oknie

i czekałem odpowiedzi, śledząc wszystko, co się w domu dzieje.

Zaczął się zmierzchać, dzień był ciepły i pogodny, mieszkańcy W. a głównie mojej ulicy, wychodzili z domów, starsi siadali na gankach i ławkach przed domami, młodzi chodzili środkiem ulicy, dziewczęta po sześć, po siedm razem, trzymając się za ręce, dzieci bawiły się piaskiem, a starsze goniły z hałasem. Jeden z tych obrazków pospolitych w małych miasteczkach mających jednak swoje c. k. starostwo, filje różnych stowarzyszeń a temsamem różne ważne, przekonane o swej politycznej doniosłości, figury.

Nie uważając na to wszystko, z sercem bijącym wpatrywałem się w furtkę domu mojej Violetty, z której niebawem wyjść mógł posłany chłopiec.

Minęło dobre pół godziny, a chłopaka, którego z angielska nazwałem Jack, nie było widać. Zmierzchało się naprawdę, już na ulicy się przerzedzało, a Jacka ani śladu. Uchyliła się furtka, wyszedł jakiś cień, za nim drugi i trzeci, niemogłem rozpoznać jednak już postaci ani osób. Wkrótce zauważyłem ruch kilku ba! kilkunastu osób pod domem Violetty — wychyliłem się z okna — zbiegowisko formalne, wszystkie stare bajczarki znane mi ze swych korpulentnych i rozlanych kształtów, i młodsze w czepkach i chustkach w sukniach pretensjonalnych i prostych spódnicach, gromadziły się na środku ulicy; sejm ten szepczący i gestykulujący rósł; głosy się podnosiły i słowa:

"to niesłychane" "to nie do wytrzymania, niech pani idzie do pułkownika" doleciały do mnie.

Nieszczęście! pomyślałem, mniej przez wzgląd na pułkownika, którego coraz głośniejsze zaczęła doradzać stara przekupka, niż przez wzgląd na Violetkę, — bo już nie wątpiłem, że list został przez mamę przytrzymany, która natychmiastowy sejm zwołała, uszczęśliwiona z okazji wygadania się jeszcze do poduszki.

Zrobiło się formalne zbiegowisko, przybywali i mężczyźni, dawały się słyszeć przekleństwa wprost wymierzane na ochotników, którzy postępują karygodnie niepokojąc zacnych, cnotliwych mieszkańców W.

— Niech pani zaraz idzie do pułkownika.

— Niech pani skarży do kryminału.

— Niech pani idzie do policji — niech ich sobie raz zabiorą.

— Jabym na miejscu pani wyniosła się z mego własnego domu.

— Jabym na miejscu pani zabiła tego śmiałka, co przyniósł list.

— Zabić, nie zabiję — ale go mam, trzymam, zamknęłam go — odpowiadała mama zwrócona do poważnej matrony, która jak się później dowiedziałem, była żoną poczmistrza i rej jeśli nie w mieście, to na tej ulicy wodziła.

— Gdzie jest, gdzie jest? — odezwały się głosy.

— Skoro jest ugalonowane to półdjabło, pani dobrodziejko, to dobrze, będzie świadczył, — przerwał ja-

kiś wysoki i barczysty mężczyzna obracając się znów do mamy.

— Będzie świadczył!

— Musi świadczyć — wykrzykiwali wszyscy.

W tem zostałem oderwany od studyowania dalszego przebiegu, awantury wejściem Jacka z miną, skonfundowaną.

— Jak to nie zamknięty?...

— Jak pan widzi — ale miałem strach jak zaczęli na ulicy wołać i krzyżeć.

— Jakżeś się wydostał, wszak cię zamknęli?..

— Zamknęli i to dobrze, ale ta panienska, usłyszawszy na ulicy, że się już o mnie pytają, wyprowadziła mnie ogrodem, a potem tyłami domostw dotarłem tutaj nareszcie.

Przyszła mi myśl zabawna, wywołana obawą, by X. i Y., którzy mogli lada chwila wrócić, nie zastali całego zbiegowiska, które gdyby ich nie zaczepiło, to by dało powód do drwinek nowych i odkryłoby moją, w tajemnicy prowadzoną, intrygę.

— Słuchaj! — zawołałem do Jacka, — biegnij do właściciela domu i powiedz mu, że jeżeli policya w tej chwili nie rozpedzi zbiegowiska, jutro się wyprowadzę z tego domu, że jestem chory... że...

Jacek pobiegł — w pół godziny potem uprzejmi zawsze nasi policjanci namawiali do spoczynku zgromadzoną i ciągle wzburzoną ulicę.

Nieobecność Jacka, którego chciano wydać policji, jako przestępcę i świadka spełnionej przezemnie zbrodni, wywołała dacapo wzburzenie i krzyki.

Chcieli się udać po niego wprost do stajni...

Policya musiała, dla położenia tamy, uprowadzić owego barczystego jegomościa, którego znów część zgromadzenia odprowadzała. Eskorta spotkała w drodze ochotników X i Y. wracających do domu po wieczorze u baronowej P. żony rotmistrza.

Ci będąc jeszcze pod wrażeniem pięknej gospodyni domu, którą dopiero co opuścili, nie pomału byli zdziwieni gdy spotkawszy się z gromadą, ludzi, zostali przez nich mimo policji, poprostu zelżeni.

Wpadli, jak oparzeni, do pokoju, gdzie już niby

O niczem nie wiedząc, czytał jakiś numer gazety.

— Cóż to za heca? coż się stało? Wielkie otworzyłem oczy.

Opowiedzieli spotkanie, Y. grubo urażony, gdyż jakiś ulicznik nazwał go, robiąc aluzję do munduru czerwonego i niebieskiego papugą.

Udałem, że ogromnie cała ta historia dziwiła, dopytywałem się nawet o szczegóły, ruszałem ramionami

i wyrażałem moje wzburzenie, doskonale grając komedię.

— Pan Y, zakochał się w pięknej baronowej — wtrącił X. podczas herbaty na drugi dzień.

Wiadomość ta mnie ucieszyła — mniej się będzie mną zajmował — pomyślałem.

Upłynęło kilka dni od tego wypadku, w oknach vis-a-vis sprawiono niebieskie lekkie firaneczki, takie

jakich się używa od much. Był to cios niepospolity, wymyślony przez mamę, która w ten sposób nie pozbawiała się świeżego powietrza, a utrudniła na zawsze wszelką komunikację oknem.

Zdesperowany siedziałem w domu, ujeżdżałem "Iskrę" i szczególnie ją przyzwyczajałem do przechodzenia około stajni, tak iżbym się nawet nie domyślał, że ma ochotę wejść do niej. — W ten sposób czy w domu czy na koniu, nie opuszczałem placu wojny.

Violetty, ukrytej za niebieską morgantyną (wyrażenie specjalne) ani razu, od opisanego zajścia nie widziałem. Wkrótce potem siedziałem w oknie bardzo

zadumany, trzymając w ręku gruby tom dzieła "Die Taktik", które paląc papierosa i używając świeżego powietrza wertowałem.

Co przeczytałem ustęp taktyki, radzącej raczej bój zaczepny niż odporny, raczej atak w pełnym galopie niż klusie, odkładałem książkę i starałem się zastosować ustęp ten lub ów taktyki, wydanej dla c. k. armji austryjackiej, do mojego położenia.

Tę pracę umysłową przerwał mi Jacek, wchodząc po cichu.

Podszedł ku mnie, położył jakąś książkę na krawędzi stołu i z półśmiechem jemu właściwym, z angielską powagą, się oddalił.

Odłożywszy taktykę, pochwyliłem przyniesioną książkę; nosiła tytuł "Złoty Ołtarzyk".

— Cóż to znaczy — pomyślałem zdziwiony "Złoty Ołtarzyk" zkąd? co? Chciałem wołać Jacka; gdy z książki wypadła karteczka, na której było napisane "str. ".

"Stron. " — znów się zamyśliłem i zacząłem szukać wskazanej stronnicy, która mi rozwiązała zagadkę.

Niektóre litery miały nad sobą kropkę, zrobioną ołówkiem; podskoczyłem z radości, domyśliwszy się, że to był list od Violetty, w każdym razie dobrze i ostrożnie obmyślany.

Ze dwie dobre godziny układałem litery naznaczone, a rozsiane na kilkunastu stronicach od do, jak dziś pamiętam. Była to niepospolita praca układać i odczytywać ten rodzaj korespondencji.

Odpisałem na stronicach od do i Jacek oddał książeczkę służącej

Violetty, wtajemniczonej w nasze pobożne aspiracje. — Violetta przy bliższym poznaniu, tej wymarzonej, najzupełniej odpowiedziała przez młodą wyobraźnię postaci romantycznej.

Przez kilka tygodni byłem formalnie szczęśliwy — w -tym roku tak mało do szczęścia potrzeba!

X. i Y., widząc moje zamknięcie się w sobie, nie branie udziału w wycieczkach do hr. K. i państwa B. ani w konnych spacerach z baronową P., przypisywali wszystko nieszczęśliwemu zajściu z Iskrą u państwa B. — starali się wytłómaczyć mi śmiech panny B. w sposób naturalny, i pocieszali mnie jak mogli.

Po dwu tygodniach kompletnego szczęścia, które przy tylu nieprzyjemnościach zawdzięczałem "Iskrze", choć się zbliżał termin uwolnienia mego od czynnej służby, ani myślałem opuszczać W, i przemyślałem nad pretekstem, jak bym mógł przedłużyć swą obecność w tem miasteczku.

Na kilka dni przed uwolnieniem jednorocznych, wpadają do mnie koledzy rozpromienieni i namawiają, bym po południu wziął udział w jakimś spacerze "konno", połączonym z wyścigiem z przeszkodami, w którym prócz nas i kilku oficerów, miała wziąć udział baronowa P., dwie panny L. z okolicy, a może i panna B.

— Śliczna sposobność pokazania, że sobie nic z niej nie robisz — wołał Y.

— Ona myśli, że umierasz dla niej z miłości — dodał Z.

Zapewne — pomyślałem — trzeba się zemścić i udać obojętnego, jakbym panny B. nigdy nie znał, a mowy już nie mogło być, żeby mi się kiedykolwiek podobała.

Spacer miał się zacząć o -ciej po południu, punkt zborny, przed domem baronowej P., który całym swym frontem na naszą ulicę był wystawiony.

Jeszcześmy się nierozeszli, gdy wpada dopiero, co przybyły mój serdeczny przyjaciel hr. S. Komunikują mu projekt spaceru.

— Ależ nie mam konia.

— X. ci pożyczyci — ma dwa — woła Y.

— Może "Iskrę" — za nic na świecie, protestuje S.

— Chętnie ci dam drugiego, ja sam na "Iskrze" pojedę — odrzekłem — podając rękę dziękującemu mi przyjacielowi.

W tym wypadku jakkolwiek "le premier mouvement" nic mnie nie kosztował, ciężko jednak go odpokutowałem.

Po południu o -ciej kazaliśmy podprowadzić konie Z. i Y. zaraz z miejsca ruszyli klusem ku gromadzącemu się towarzystwu o kilkadziesiąt kroków odemnie. Zajeżdżały powozy, wyprowadzali wierzchowe konie, jedni siadali, czekano na drugich.

Dosiadłem Iskry. S. siedział już na swym koniu.

— Będziemy tu stać? — zapytał — widząc że nie myślę dalej ruszać.

— Wiesz — odpowiedziałem ty jedź ja tu zaczekam (pod oknem Violetty) aż całe towarzystwo już będzie gotowe, w tym ścisisku koni i powozów boję się bym nie miał jakiej nieprzyjemności z mą nerwowa klaczą.

Równocześnie baronowa P. na którą czekano dosiadała konia; Y. jej pomagał.

S. ruszył z miejsca, zostawiając mnie samego, co mocno zaniepokoiło Iskrę, przyzwyczajoną ostatnimi czasy, do ciągłego towarzystwa drugiego mego konia, gdyż coraz mniej jeździłem poświęcając wszystkie wolne chwile Violecie.

Za chwilę miało towarzystwo ruszyć; nie wiem, na co jeszcze czekali, dość, że rachowałem sekundy, Iskra bowiem dostawała nerwowej gorączki, widząc się odosobnioną od koni.

— Panie X. no! podjeżdżaj pan — zawołała głosikiem podnieconym baronowa.

— Zaraz — odpowiadam — nie dokończyłem, bo Iskra, stojąca na środku ulicy, zaczęła parskać, kopać i kręcić się.

Czemu jej wtedy nie puściłem — nie wiem — miałem może nadzieję ujrzyć w oknie Violetę i z nią się pożegnać na te kilka godzin.

Dość, że zaniepokojoną klacz szarpnąłem cugłami, w skutek czego ta zaczęła się cofać, cofać... — przeczuwałem nieszczęście.

Cofając się, dotarła do przeszkody — ściany. Zniecierpliwiony, chciałem ją podpedzić naprzód, gdy ta spięła się dęba jednego, drugiego, ciągle cofając się, nareszcie za trzecim zsunąłem się w tył i wpadłem we framugę jakiegoś okna, potłukłszy sobie głowę o krawędź, czy ścianę.

Wpadłem na kilkadziesiąt fajerek i doniczek, wypełnionych kwiatami rzadkimi i pnącymi się (których piramidalne piętra na patyczkach opisałem), robiąc z fajansu, ziemi i roślin jedną masę.

Patyczki, które się oparły, powbijały się w mundur, czapkę, powychodziły między palcami na wylot.

Jak wyglądałem z przodu i z tyłu, w tej komicznej pozycji w framudze okna, na zielonym materacu

— nie wiem, przypuszczam tylko, że musiałem być trochę podobny do tego świętego, którego przedstawiają przebitego na wylot w różnych miejscach strzałami.

Nim zdołałem się podnieść, miałem czas, jak we śnie gorączkowym, nie widzieć, lecz zaledwie zauważyć, że całe towarzystwo tę scenę widziało i że na ulicy już się utworzyło zbiegowisko.

Miałem tyle przytomności, że usłyszałem jeden wielki śmiech, na którego akorda składała się ulica, mieszkańcy domów, liczne moje towarzystwo i wnętrze pokoju, z którego framugi okiennej wprost na ulicę wydobyłem się.

Słyszałem przeraźliwy głos mamy — głos wściekłej ze złości starej kobiety, słyszałem śmiech powstrzymywany, łagodny, jakby nieznaczny — zapewne Violetty. Trwało to sekundę.

Wyskoczyłem z okna na ulicę, przebiegłem ją dwoma susami i wpadłem do siebie, gdzie się nawinał Jacek, który z okna wszystko widział i śmiał się,

— Z czego się śmiejesz? — huknąłem niezwykłym mi głosem.

Jacek w odpowiedzi roześmiał się jeszcze głośniej. Żałuję tego dzisiaj, i ja żałowałem w godzinę później — dostał bowiem w papę. Głowa mnie szalenie bolała, a do bólu fizycznego dołączył się i moralny. Czy Violetta widziała, czy się śmiała — czy widziała panna B. — co powiedzą koledzy, co mó-

wi miasteczko? — szumiało to wszystko w mej potłuczonej głowie. Położyłem się do łóżka i spałem do -tej rano snem twardym, gdy obudzony zostałem przez żołnierza, donoszącego mi, że o -niej mam się stawić do raportu. Ubrałem się na prędcę — koledzy moi jeszcze spali — byłem w gorączce, nad niczem nie mogłem się zastanowić. Po raz pierwszy, na dwa dni przed ukończeniem mej służby, wezwany do raportu, przypuszczałem, że zapewne chcą mnie uwolnić wcześniej, i pobiegłem. Raport! ryknął wachmistrz. Jak w panoramie przesuwają się w mojej wyobraźni różne obrazy, wypadek, potłuczenie, sen, obudzenie, raport, z niczego jednak sprawy sobie nie zdawałem. Kilkunastu stanęło do owego raportu; jeden za to, że w nocy ukradł snopek owsa w miasteczku; drugi za pijaństwo, trzeci, czwarty i dziesiąty za złą służbę, za nieukłonienie się starszemu, za kradzież i bijatykę, za cóż ja? — Habt Acht! Zjawił się dowodzący szwadronem. Przyszła na mnie kolej. — Co pan wyprawiasz? zaczął oficer — przychodzą do mnie na skargę spokojni mieszkańcy W., że ich pan swoim wyuzdanem postępowaniem niepokoisz; wczoraj wpakowałeś się pan w okno jakiejś mieszczki w biały dzień, zrobiłeś pan skandal uliczny, kompromitując pułk, który posiada takie "indywidua"; pułkownik, do którego zanesiono skargę, polecił mi pana

surowo ukarać. Co pan masz na swoje wytłómaczenie? Choć przyznać trzeba, że taka beczelna historia, niegodna żołnierza, a cóż dopiero pretendenta na oficera, (tu podniósł głos) nie może być wytłómaczoną. Poczzerwieniałem, nie drgnąwszy. — Czy pan masz co na swoje wytłómaczenie? — zapytał oficer. Opowiedziałem spokojnie i krótko, jak się rzecz miała, — Opowiadasz mi pan hiszpańskie historie, które jeśli są prawdziwe, to zasługujesz na potrójną karę, pierwszą za nieujeżdżenie remonty, drugą za złe jeżdżenie, trzecią za spadnięcie; pomijam pańskie wypadki podczas manewrów, i nie wliczam wczorajszego skandalu... — Pozwoli pan... — nie dał mi skończyć. — Dosyć! byś pan na drugi raz nie kupował kobyły, co ma zwyczaj herein kücken do domów ładnych dziewczyn (tu lekki uśmiech przebiegł po jego ustach), odbędziesz pan dwa dni zaostzonego aresztu, ostatnie dwa dni pańskiej czynnej i świetnej służby. Odszedł — obrócił się jeszcze zapytując — kiedy pan chcesz zacząć zaostzony areszt? — Zaraz, panie poruczniku. — Wachmistrz Pirogi — zawołał oficer, a gdy przybiegł zawołany — zamkniesz jednorocznego X. na dwa dni ostrego aresztu. W kilka minut potem siedziałem w śmierdzącej, brudnej i ciemnej celi.

Dowiedziałem się w mej kozie od Jacka przez okno, że mieszkańcy W. przychodzą do kazarm, by się przekonać o ukaraniu zbrodni. Prosto z aresztu, podziękowawszy za karę, według zwyczaju, wsiałem z Jackiem (ja na "Iskrę") na konie i ruszyliśmy do domu, zostawiwszy mego służącego, który miał, spakowawszy rzeczy, opuścić W.

Z nikim się nie pożegnałem, nawet z Violetką, która zdaje mi się, że się śmiała, gdy się wydobywał z framugi.
Czy się śmiała, czy mi się też zdawało — było przedmiotem wszystkich mych myśli przez dwanaście mil drogi.

* * *

Minęły lata — rozproszyli się po świecie ówczesni aktorowie opisanego wypadku.
— Ile razy jednak spotkałem Y. Z. lub H. hr. K. lub pana S. zawsze mnie ze śmiechem pytają:
— A cóż, pamiętasz pan "Iskrę", masz ją pan jeszcze, pamiętasz W. ?
Violetta nawet, którą, jedną z tych igraszek losu, w kilka lat później, o sto mil od W. o dwunastej w nocy ujrzałem za wspaniałym bufetem pewnej rosyjskiej stacji kolejowej, na wygodnym fotelu, otoczoną przejeżdżającymi generałami na obchód pogrzebowy nieszczęśliwego monarchy — poznawszy mnie, najprzód zapytała o "Iskrę", i roześmiała się; śmieliśmy się oboje.
Za jeszcze piękną, choć już nie tą Violetką, nie tym fijołkiem wiosennym, stał sztywny, widocznie

zazdrosny mąż, właściciel wspaniałej restauracji kolejowej, które w Rosyi ze wschodnim urządzone są przepychem.
— Szczęśliwą pani jesteś? zapytałem półgłosem..
— Tęsknię za W. — odrzekła jeszcze ciszej.
— A Iskra? — może kto zapyta, — poszła do francuzkiej armji, gdyż dostawca remontów nie troszczył się, kto na niej kark złamie.

SMOLARZ.

I.

Mieszkałem wtedy pod Lublinem i gospodarowałem na kawale glinki, która bardzo dobrze rodziła, ile razy dobrze i porządnie około niej się zrobiło.
Ale tego roku różne okoliczności się zeszyły, by obmierzić życie gospodarzowi. Przedwczesna zima nie pozwoliła dostatecznie uprawić roli pod oziminę, a bardzo późna wiosna znów wpłynęła na niedokładność jarych zasiewów. Po tych dwu klęskach nastąpiła niepamiętna posucha, która zniszczyła zboża i trawy, paliła i przypalała, zapalała i wysuszała wszystko, co na polach zieleniało, kwitło i dojrzewało.
Rolnicy chodzili jak zmory, i każdemu serce się krajało na widok codzien gorzej wyglądających łąnów. Jednego z tych skwarnych, bez przerwy następujących po sobie dni, a choćby kropelką deszczu nie-

przerwanych, przygnębiony i zmęczony myślami o gospodarskich kłopotach, dostałem na dobytek nieszczęścia od mego faktora z Lublina telegram tej treści:
"Wilson zbankrutował i uciekł."
Zbladłem, jak alabaster, bo ten Wilson winien był wespół ze mną dwa tysiące rubli w Banku Państwa i obaj solidarnie za siebie wzajemnie odpowiadaliśmy. Musiałem więc albo dług swój i jego spłacić, albo też przyjmując na siebie dług Wilsona, wystarać się o innego poręczyciela.
Pierwsze było niemożliwe, drugie trudne, a tak to, jak i tamto wrywało mi z kieszeni dwa tysiące rubli, których nie miałem; cała nadzieja była w zbożu,

które dobroczynne słońce codziennie silniej przypiekało i realizację jej wątpliwszą czyniło.

By ochłoniąć i obmyślić plan ratunku, wybiegłem w pole, prosto przed siebie, szeroką, drogą" po obu stronach której roztaczały się zasiewy.

II.

Niebo wyiskrzzone ani jednej nie odkrywało chmurki. Słońce stało gorące jak piekło promienie na ziemię i zbliżało się powoli do łożyska, posuwając się po równym, wypogodzonym, białym tle.

Śliczny to był dzień, którego piękność jednak doprowadzała mnie do rozpacz. Prawie nieprzytomny biegłem naprzód, gdy tuż obok przejeżdżający skrzypiący wóz wyrwał mnie z zadumy.

Jeden biały i stary koń ciągnął mozolnie czarną, zakurzoną i niezwykle długą brykę, na której leżało kilka osmolonych beczek. Na wierzchu największej beczki siedział stary żyd z rudą brodą, kiwając się to na prawo, to na lewo, a szkapiną powoził zasmolony wyrostek. Siedział on oparty o wieko baryłki, z której smoła się przelewała.

— Smolarz! — zawołałem uradowany, przypominając sobie, że kilka razy już mi ekonom o braku smoły w gospodarstwie wspominał i nie mógł się wydziwić, że oddawna smolarza nie widział.

Na ten okrzyk stary żyd, siedzący na beczce, obudził się i bystro mi spojrzał w oczy, a równocześnie chłopak zatrzymał konia.

Typ smolarza mnie uderzył. Był to bowiem żyd, mogący liczyć lat siedemdziesiąt, o dziwnie sprytnym wejrzeniu, a niepospolitych cechach fizyognomii.

Cały owalany, okapany smołą, która chałał jego, jakby czarnym, przed wyschnięciem przykurzonym lakierem pokryła, miał wspaniałą, czystą" rudą, na dwie połowy rozdzieloną brodę.

Ta broda mnie uderzyła. Jakim ona sposobem była tak czystą, rudą, a nie czarną, wspaniałą, jak u rabina, u tego nędzarza, jakim smolarza zawsze sobie

wyobrażałem? Nadto ta broda była pretensjonalną swym rozdzieleniem na dwie połowy, które szpicami fryzując się, spływały na piersi i mieniły się na słońcu. Ale jeszcze ciekawą wszem od brody żyda było jego wejrzenie, obejmujące mnie całego, przesywające na wskroś, niesłychanie badawcze i przenikliwe, inteligentne i myślące.

Patrzył na mnie, jak gdyby przez tę jedną chwilę chciał mnie do dna poznać, zmiarkować do najskrytszych głębin, jak gdyby mu to dokładne poznanie mnie mogło być potrzebnem, czy użytecznem.

— Ot żyd! — pomyślałem — najciekawszy naród pod słońcem! Widzi mnie raz pierwszy i ostatni może w życiu, a przypatruje mi się przenikliwiej i ciekawiej, niż to czynił teść mój, gdy mi swą jedyną oddawał córkę.

— Jasny pan potrzebuje smoły? — zapytał, usiłując zejść z beczki.

— Jedź tu... do folwarku — odparłem — i odmierz ze dwadzieścia garnicy, jeśli dobra...

Żyd się uśmiechnął:

— Czy dobra? złoto nie smoła, jasny panie, smarówka, aj waj jaka smarówka, jak masło...

Ruszyłem dalej, a smolarz, wlokąc się do folwarku, długo jeszcze z wierzchołka swej beczki wzrokiem mnie odprowadzał, a wyglądał inaczej, niż wszyscy smolarze, których tylu znałem, a żadnego nie zapamiętałem.

III.

W kilka godzin później przybył on do dworu po pieniądze za wybrany w folwarku towar.

Pokazało się, iż wzięto i inne artykuły, bo żyd upominał się o należność za dziegieć, smarówkę i terpentynę.

Eachunek wynosił kilkanaście rubli. Gdym towar po zwykle praktykowanej cenie obliczył i sprawdził odbiór jego, smolarz mi się długo z wyrazem bezmiernej boleści przypatrywał, a wreszcie — nie biorąc pieniędzy, leżących na stole, tak się odezwał zachrypłym i wzruszającym głosem:

— Za co mnie pan tak krzywdzi? co ja biedny smolarz panu zawinił? niech pan się zlituje nad człowiekiem! ja mam żonę i dzieci w domu... mnie samego więcej kosztuje....

Jeremiadę tę przerwałem, tłumacząc żydowi sprawiedliwość cen zwykle przezemnie płaconych, — ale nic to nie pomogło. Smolarz widocznie spostrzegłszy moją miękkość, gwałtownie się upominał o bajecznie wysokie ceny.

Darmo mu tłumaczyłem, on przy swoim obstawał i coraz głośniej krzycząc, błagał, bym go nie krzywdził.

Przekonany byłem, że słuszność po mojej stronie, i przypatrywałem mu się jak jakiemu niezwykleму zjawisku.

Stary żyd pomarszczył swoje oblicze wyrazem rozpaczony w takie miliony bruzd i ściągnięć, iż wyglądało ono jak zgniłe lub zasuszone jabłko. W zagłębieniach błyszcząły tylko jego siwe, niesłychanie przenikliwe oczy, przybierające wyraz zaciętości i niepospolitej siły woli. Widząc, że narzekania jego nie odnoszą skutku, ruchem rabina pogładził swą długą, rudą, złotym odbłyśkiem lśniąca brodę i dalej tonem jeszcze rozpaczliwszym i płaczliwszym zaczął:

— Jasny panie! zlituj się nad moją żoną i moje dzieci, co one na szabas nie będą miały co wziąć do gęby... aj waj! aj waj taka krzywda! Gdzie pan ma serce i sumienie? z czym ja powrócę do domu? co ja powiem moja żona, co ja?...

Żydowi łzy zaczęły się kręcić w oczach, a mnie równocześnie przyszła myśl, że może w skutek posuchy, i smarowidła w górę poszły.

Że zaś chodziło między nami o pięć rubli, wyjąłem rubli trzy i dołączyłem do pieniędzy, leżących przed żydem.

Ale i to nic nie poskutkowało. Smolarz rzucił na mnie dziwne wejrzenie i wyszedł z pokoju, zostawiając pieniądze.

Za chwilę usłyszałem głośnie narzekania i płacz na drodze przed domem. Żyd zawodził:

— Gwałt gwałt! ja jestem obdzony, ja jestem pokrzywdzony! ja dał takie smołę na takie rzetelne miarę! ja dał złoto nie smołę! ja stracił!... gwałt

Wściekły wybiegłem za żydem.

— Słuchaj ty parchu! — zawołałem i urwałem, bo smolarz równocześnie, jak wymówiłem te słowa, obsunął się na ziemię i wołał, leżąc na wznak i pniąc się ze złości:

— Niech mnie pan zabije, niech mi pan śmierć zrobi, to będzie lepiej, bo ja jestem pokrzywdzony, ja mam żona i dzieci głodne, ja na szabas nie mam. Pan mnie zgubił, pan mnie zniszczył, niech mnie pan zabije....

Ochłonałem, a żyd dalej jęczał, i krzycząc, swoją krzywdę głosił.

Czempredziej wbiegłem napowrót do pokoju, schwyciłem pieniądze, dołączyłem jeszcze dwa ruble i wyniosłem żydowi.

— Bierz i uciekaj, żeby twoja noga więcej tu nie pozostała.

Smolarz się podniósł, jęcząc, przeliczył banknoty i ciężko wzdychając, jak gdyby po strasznym jakim przejściu, zmierzał ku bramie.

Długo stałem przyglądając mu się i myśląc nad zagadką tego wypadku, dowodzącą potężną siłą woli takiego smolarza.

Chciał wziąć pięć rubli więcej, niż mu się słusznie należało i wziął.
Byłby wziął może i więcej, bo wstręt zawsze miałem do awantur.
Czyżby on to odgadł i wyzyskał?

Widziałem, jak się wywindował na beczkę i gładząc swą rudą brodę, najspokojniej rozglądał się ciekawym wzrokiem po moich niwach, dotkniętych posuchą.

IV.

Nazajutrz wypadł piątek. Zaraz rano pojechałem do Lublina, by zapobiedz fatalnym skutkom ucieczki Wilsona.

W banku dowiedziałem się, iż jedynym ratunkiem było zaraz zapłacić cały weksel, lub też przedstawić nowy z podpisem, zastępującym poważny niegdyś podpis zbiegłego bankruta.

Pieniądzy nie miałem. Nie pozostawało nic innego do zrobienia, jak wyszukanie poręczyciela.

Udałem się do mego faktora żydka, który po kilkogodzinnym bieganiu po mieście, powrócił do mnie z wiadomością, że nikogo znaleźć nie mógł, ktoby zechciał mi żyrować weksel. Każdy obawiał się wobec ogólnej w kraju klęski, spowodowanej suszą, wchodzić z ziemianami w interes.

— Ale w mieście, mówił on, znajdował się żyd, niejaki Srul Silber, mający otwarty kredyt w banku i trudniący się tylko poręczaniem weksli za sowitem wynagrodzeniem ludziom pewnym, według swego uznania.

Ta wiadomość doszła mnie na kilka godzin przed zapadnięciem szabasu, a w sobotę, t. j. nazajutrz, szedł weksel mój do protestu.

Faktor mówił:

— Ten Srul Silber, to jest taki mądry żyd, co un sobie wymyślił taki łatwy zarobek. Un ani nie chodzi, ani nie wyczekuje, un nic nie robi, tylko swój podpis położy i za to bierze pieniądze. Un mądry, un ma spokój, jak za piecem... Bo to widzi jasny pan, to tak: ojciec mu dał dużo tysięcy rubli na handel, a un mądry siedzi w izbie, a pieniądze same robią. To bogacz, un ma kredyt w banku, jak żaden obywatel.

— Ale czy zechce mnie tylko poręczyć?

— Dla czego by nie? Un tylko wyjdzie sobie na miasto i dowie się, że pan jest człowiek... aj waj!... pan ani gra w karty, ani pije, ani hula. Ot... tylko, to się wie... gospodarstwo w tych czasach nie popłaca. Zresztą, on się spyta ojca, a jak ojciec mu powieeee...

— To chodźmy! czempredzej! — zawołałem — bo szabas zajdzie i w banku mi kosztów narobią. Gdzież on mieszka?

— Na żydach... het za Żelazną bramą... ja wim, że on poręczy, jak taka godna osoba, jak pan, do niego zajdzie, a i stary musi już być w domu....

— A cóż ten stary? cóż to za człowiek?

— Co za człowiek? — zapytał żyd i ciągnął dalej, — un żaden człowiek... Jabym chciał być taki człowiek, jak un... Un miał pięciu synów, to każdemu dał po kilkanaście tysięcy, un miał siedem córki, to każdej

dat posag i każda wyszła aj tvaj, un taki sobie człowiek!... taka głowa, że choć un sobie prosty żyd, to synowie już groise purec, a żaden nic nie zrobi bez jego porady, bo gdy stary Silber radzili to już pewny jest geszeft.

Tak mówiąc, prowadził mnie Lejbuś "na żydy. "

V.

Mieszkanie Silberów, bo razem oni prawie wszyscy mieszkali, położone było na parterze od podwórza w jednym z domów tej żydowskiej dzielnicy, zwanej "na żydach."

Naprzód weszliśmy do obszernej kuchni, której wykwinna czystość mnie uderzyła. Mosiężne lśniące naczynia, czerwone miedziane rondle zdobiły liczne pułki i stoły, dokoła których krzątało się kilka kobiet, odświętnie ubranych.

Drugim pokojem była sala, w której znajdowało się kilku żydów, to pogrążonych w modlitwie, to zajętych czym innym.

Jeden z nich popijał herbatę i ten zwrócił się do nas z zapytaniem, czego żądamy.

— Do Srula Silbera! — odparł Lejbuś.

Żyd wbiegł do trzeciego pokoju, zostawiając nas samych. Zapytałem wtedy mego przewodnika:

— Czy ci wszyscy, to synowie i córki starego Silbera?

— Nu, tak... zięciowie i synowie, córki i wnuki a są i wierniki starego i jego pomocniki, jak pan wie w dużych interesach... Będzie ich więcej, teraz dopiero zaczną się schodzić na szabas... jedni jeszcze w łaźni, drudzy w domu... w bóżnicy... jak u żydów...

Wtem otworzyły się drzwi przed nami i weszliśmy do trzeciej ogromnej sali, urządzonej ze zbytkiem, a mieszczącej kilka, jeśli nie kilkanaście osób, które wchodziły i wychodziły, rozmawiały, to modliły się.

Zdziwiony, rozglądałem się, podczas gdy Lejbuś rekomendował mnie i mój interes młodemu Silberowi.

W salonie wyściełane mahoniowe meble pokryte były zielonym rypsem; dokoła ścian biegły szafy oszklone, na których półkach błyszcząły stare żydowskie srebra, wyciskane i zdobne.

Bogate mosiężne kandelabry stały gotowe do zaświecenia a srebrne lichterze zdobiły gęsto stoły, na których leżały to otwarte księgi w skórę oprawne, to chałaty jedwabne, to różne odświętne do modlitw przybory.

Zbytek mnie zastanawiał i zajmował, bo pierwszy raz widziałem żydowski salon przed chwilą, zapadnięcia szabasu.

Jakieś strojne w perły i brylanty niewiasty, krzątały się po mieszkaniu, a tu i owdzie przy ścianie tyłem obrócony do sali kiwał się żyd, odziany w swój pasiasty szal.

Ukończywszy ten pobieżny przegląd, obróciłem się do Silbera, którego już poinformował Lejbuś i powtórzyłem me życzenie.

Silber podsunął mi krzesło i tak odparł:

— Nu... dlaczego nie?... ale wpierw ja będę się ojca poradzić.

Tu skierował swój wzrok w stronę okna, przy którym na fotelu, z rękoma wspartymi na małym stoliku, siedział stary żyd nad księgą.

Rzuciłem oczyma w tymże kierunku i osłupiałem.

Ten wspaniały żyd, ten stary Silber w swym atłasowym żupanie, był jak dwie krople wody podobnym do mego onegdajszego smolarza. Gładził on swą wspaniałą rudą brodę i zatapiał się w czytaniu. Nie mogłem pojąć, jakim sposobem mogły się trafić dwa tak oryginalne a tak niesłychanie podobne typy i czekałem tylko, by podniósł oczy, które u smolarza swą ciekawą przenikliwością tak były charakterystyczne.

Ale stary Silber się modlił, a wszyscy dokoła niego na palcach chodzili, wszyscy co chwila na niego spoglądali, czy się czoło jego nie zmarszy znakiem niezadowolenia, czy czego nie żąda lub nie pragnie.

Syn nawet, mówiąc ze mną półgłosem, wpatrywał się w niego i zdawał się na coś czekać.

Poprosiłem o pośpiech.

— Ojciec się modli — odparł mi — nie można mu przeszkadzać. — A Lejbuś dodał czempredzej:

— My poczekamy, ja widzę, że un zaraz skończy.

Rzeczywiście stary Silber zamknął księgę, a wtedy natychmiast wszyscy się ku niemu rzucili.

To się witali z nim dopiero przybyli, wnuki i synowie, to jeden porywał zamkniętą, księgę, drugi podawał mu szklankę herbaty, trzeci nakrywał koronkową serwetą, stół, czwarty schylał się przed nim i coś szeptał.

Stary Silber wyglądał, jak wielki rabin przyjmujący wiernych.

Przybliżył się wreszcie do niego i mój przyszły spodziewany poręczyciel i pochylony nad nim zaczął z nim, długo szeptać.

Przyglądałem się z ciekawością tej grupie.

Stary słuchał i kiwał głową i gładził brodę, ale długo nic nie mówił. Nagle bąknął niedbale kilka słów, rozparł się w fotelu, wzrok w oknie utopił i zdawał się myśleć, a pełen siły wyraz jego rysów, nie dozwalał wątpić, że w tej chwili przenikał on do głębi i w najdrobniejszych szczegółach, przedstawiony mu interes.

A syn wlepił oczy w ojcowskie oblicze z dziwną, bałwochwalczą wiarą, malującą się na twarzy i czekał.

Lejbuś także z przejęciem wpatrywał się w starego i szeptał;

— Co un powie, to tak będzie!... Co un powie?

Wtem stary żyd zapytał o coś syna, ten spojrzął w moją stronę, a za nim potoczył wzrokiem i ojciec. Oczy jego spoczęły na mnie, a równocześnie twarz

starca, której dotąd tylko profil widziałem, odkryła się cała.

Uległem największemu zdziwieniu, bo stary Silber nie mógł być kim innym, tylko moim smolarzem. A pomieścić mi się to w głowie nie mogło, by ten żyd ubrany w jedwabie, otoczony zbytkiem i bogactwem, a fanatycznym poważaniem swej tak licznej rodziny, mógł być tym samym nędzarzem, podróżującym na bezcze smoły i tarzającym się w prochu dla dwóch rubli...

Było to rzeczą zgoła niemożliwą do wiary, skonstatowałem więc tylko nadzwyczajność zdarzającego się tu podobieństwa.

Stary krótko, lecz równie jak malarz przenikliwie, spoczął na mnie oczyma i odwrócił się, by jeszcze coś bąknąć synowi. Ten skinął na Lejbusia, który zaraz podszedł do nich. Stary o coś go zapytał, poczem chwilę tylko potargawszy swą ogromną rudą brodę, wyrzucił kilka słów tonem rozkazującym.

Lejbuś się skłonił i wraz z synem zbliżył się do mnie. Młody Silber tak do mnie zagadał:

— Ojciec mi pozwala zrobić panu tę dogodność... nu... i ja zrobię, ale... pan mi da zabezpieczenie hipoteczne....

— Dam!

— Nu i da mi pan pięć procentów....

— Ależ to drugie tyle, co bankowi.

— Nu.... być może, ale ja tak biorę.

Zgodziłem się i na ten warunek, poczem dopiero Silber innym już tonem zaczął:

— Ojciec mi mówi, że pan bardzo skąpy, ale my skąpych lubimy, bo kto swoje szanuje, mówi Talmud, to szanuje i cudze.

— Zkądże ojciec mnie zna? — pochwyliłem. Zkąd un zna pana? — zaśmiał się żyd — un zna

wszystkich, bo un jest taki... a Talmud mówi: "ten jest tylko mądry co wszystko wie i zna. Un zna pana lepiej, niż pan zna samego siebie i un wie, że z panem

wejść można w interes, bo my w żadne niepewne geszefty nie wchodzimy....

— Niechże się pan zapyta ojca. zkąd mnie zna, albo ja sam... — zawołałem robiąc ruch, jakbym chciał podejść do starego Silbera.

Ale i syn i Lejbuś z przestrachem mnie od tego kroku wstrzymali.

— Nie... nie — szeptał Silber, — ojciec teraz myśli tylko o modlitwie i nie lubi, aby mu przeszkadzano. Zresztą un panu nie powie i un mnie także nie powie, bo un tylko tyle mówi, co potrzeba i ani słowa więcej, ani mniej. Un powiedział przez swoje stare usta, że można, to dosyć! Bo widzi pan, u nas, to nauka mówi: że słowa są złoto, ale milczenie, to brylanty, Un też mało mówi i tylko to, co potrzeba, un mnie tylko powiedział, że zna pana i to dosyć i więcej nam nie potrzeba....

Wtem stary Silber od okna zaczął głośno mruzczyć:

— Gewalt ! gewalt ! gewalt !

Na ten sygnał, umilkły wszystkie szepty w sali, a Silber z przestrachem poprosił nas cicho, byśmy wyszli, tłómacząc mi, zdziwionemu, słowa dziwaczne swego starego ojca:

— Ojca boli, że my w szabas o interesie mówimy; niech pan idzie... ja wszystko w banku zrobię, moje słowo, to słowo Silbera... gewalt ! gewalt ! gewalt ?

Wybiegłem pod dziwnym wrażeniem, a wszyscy zgromadzeni w sali oburzali się za starym na mnie i na Srulę, powtarzając chórem:

— Gewalt ! gewalt ! gewalt !

A Srulę odprowadzał mnie przez trzy pokoje i szeptał pod nosem jakby sam sobą zgorzony:

— Gewalt ! gewalt ! gewalt !

VI.

Przez długość całej tak zwanej "na żydach" dzielnicy, wypadła mi droga z Lejbusiem. To też zaraz zapytałem go:

— Mój Lejba! powiedz mi, czem się trudni stary Silber?

— Czem mm się trudni? — odparł Lejba, przejęty jeszcze uroczystem i wspaniałem wrażeniem, jakie na nim wywarła wizyta u Silbera — czem się un trudni? un się trudni wszystkim. Jeden syn ręczy, jak panu, jak innym, un ręczy wszystkim porządnym ludziom.....

drugi? drugi, un znów tylko się modli, un się modli! trzeci ma gorzelnię, wie pan, tę wielką, gorzelnię, w Suchach, czwarty? co czwarty robi? co un robi? un wszystko robi, un ma ogromne geszeftu, un pożyczca i kupuje wełna, zboże, rąbie lasy, wywozi, un wszystko robi, co pieniądze daje...

— No, dobrze — przerwałem — a stary?

— Stary? stary... un to wszystko robi, a un sam? un sobie jest magnat!

— Jakto magnat?

Lejba przystanął:

— Wie pan? — mówił — ta wszystka smoła, co to wozy nią smarują, co pan kupuje i smaruje, to jego smoła... Un sobie jest smolarz, ale jaki un smolarz? un ma wierników, co po całym świecie z tym smołą jeżdżą a un tylko co piątek rachunek z nimi robi i pieniądze chowa. Un taki smolarz.

Na chwilę oniemiałem ze zdziwienia.

— A on sam — zapytałem — ze smołą nie jeździ?

Lejba znów przystanął.

— Co pan mówi? co pan mówi? jakby un mógł ze smołą, jeździe, un z taką, brodą,

i w takim wieku!

— Otóż ja powiem Lejbie — zawołałem — że on sam z tą broda był u mnie wczoraj, na wozie i że kupiłem...

Lejba znów stanął jak wryty i oniemiał z nadmiaru zdziwienia.

— Co pan mówi?

— No, mówię.

Lejba się zamyślił i po długiej chwili dopiero ruszając z miejsca, zaczął:

— To mnie raz żydkowie mówili, a ja wiary dać nie chciał, a to musi być prawda...

— Co?

Żyd znów przystanął, zapominając że słońce kryło się już za dachy i kominy domów.

— Un był u pana? — zapytał.

— Był.

— Un sam ze swoją, brodą?

— Sam.

Faktor ruszył naprzód; uwierzywszy mi rzekł:

— Otóż niech pan wysłucha... Żydkiwie mówią że stary Silber czasem jeździ sam ze smołą, ale niech pan tego nie powtarza, że ja panu powiedział... Un sam siada na furę, sam smołę waży i jeździ od obywatela do obywatela... A dlaczego un to robi? un, co w domu ma tyle brylantów, co gwiazdy na niebie? Un to dla tego robi, bo un chce znać wszystkich, co smoła kupują, aby go wierniki oszukiwać nie mogły.

Żyd odpoczął i dalej prawił:

— Ja miał szwagra, co u niego był wiernikiem. Un raz pojechał do Szytkowice, gdzie siedzi ten bogaty dziedzic, co to oknami i drzwiami pieniądze wyrzuca i un mu sprzedał smoła i wziął dubelt jak płacą. Un sobie tak pomyślał: co ja wziął, to moje szczęście i oddał Silberowi tyła, co smoła płacą, a Silber gwałt zrobił, że un wziął więcej i wypędził go. My w głowy zachodzili, zkąd un wiedział...

— I zkądże wiedział? — podchwyciłem także zaintrygowany.

— Zkąd wiedział? Un wie, że pan skąpy to płaci tyła co jest w cenie i un wie że pan ze Szytkowice płaci, co żyd chce, a że znów inny pan płaci mniej, niż warte, a inny miarę i wagę nie dopatrzy, a u innego, jak w Rozdole, to ekonom kwit wyda do hrabiego, a smoła nie weźmie, tylko się ze smolarzem pieniędzmi podzieli.

Teraz ja znów przystanąłem i tym razem stałem długo.

Smolarz tarzający się w prochu i wrzeszczący w niebogłosość o dwa ruble, na mnie wyzyskane, płaczący na głodną żonę i dzieci, był tym samym żydem, którego dopiero co widziałem, rozporządzającym krociami, otoczonym komfortem, bałwochwalczem poszanowaniem, wymawiającym tylko niezbędne słowa, bo te słowa jego były złotem.

Długo pragnąłem choć jeszcze raz spotkać starego Silbera na furze, ale już go nie spotkałem. Tyl-

ko od tego czasu każdy smolarz, jaki zawitał do mnie, gdym mu chciał wypłacić według rzeczywistej bieżącej wartości za towar, podnosił taki krzyk i lament, iż zawsze o jakie pięć groszy na gancu za smołę drożej płacić musiałem i dotąd tak płacę.

ZAPART OD CHARTÓW.

Niebyło w swoim czasie, w całym powiecie Tomaszowskim, ba! w całym kraju może, charciarza jakim był Zapart. Zapart się nazywał. I jakkolwiek nikt nie wiedział, czy to imię było imieniem, przezwiskiem czy nazwiskiem, każdemu ono wystarczało. Jeszcze widzę Zaparta, jak w rodzinnej swej wiosce Jurowie, poważnie przechodził przez podwórze, udając się co rano do śpichrza po baranie nóżki.

— Zapart! a gdzie idziesz? — nieraz pytałem.

— Po nóżki dla sobaków paniczu! — odpowiadał z pewnym odcieniem dobrego humoru i dumy.

Zapart też tworzy nieoddzielną całość z moją pierwszą młodością.

Wolne chwile poświęcałem słuchaniu jego myśliwskich opowiadań. Graniczyły one zawsze z niepo-

dobieństwem, lecz wtedy, tak ja, jak i on prawdopodobnie, ślepośmy w nie wierzyli.

Co to była za boleść, gdy mnie odsyłano do szkół i trzeba było się pożegnać z Zapartem i Lotką, Pałaszem i Sarną, Delotem i Dogoniem!

A co za radość, gdy powróciwszy pod rodzinną strzechę, biegłem do psiarni przywitać się z Zapartem!

Pamiętam dokładnie te śliczne chwile życia. Przejeżdżało się przez gumna. W folwarku wszyscy byli zajęci, bo zwykle nie było nikogo, coby czekał na bryczkę wiozącą ze szkół panicza. A przecież tenże z taką radością oglądał te tak dobrze sobie znane budynki pod słomą, te sterczące wśród nich i od góry uschnięte topole, te połatanne parkany i płoty.

Toż to byli przyjaciele prawdziwi, choć niemi, ale najmilsi.

A rozglądając się po podwórzu, czy się co na niem nie zmieniło, szukałem mojego skrzypiącego zórawia i mych bocianów na owczarni i dzwonka na wysokim słupie, na którego odgłos stadnina zbiegała z pola.

Nie wszystko znajdowałem w porządku, bo czasem brakowało kołka w płocie, to znów podwalina obgniła i budynek się nieco pochylił, to wiatr jesienny wyrwał kawałek strzechy z dachu, a świeża łąka jeszcze nie zagniła i mchem nie obrosła.

Bryczka szparko się posuwała, minawszy podwórze gospodarskie i śpichrz i stajnie, przejeżdżała około psiarni.

Tu stał Zapart otoczony kilkoma zwykle chartami, które swem bezmyślnem, ale dobrem spojrzeniem mnie witały.

Stał, uchylał godnie czapki i z uśmiechem pełnym dobroci odprowadzał bryczkę, dopóki już pod dworem za kłębem świerków nie zniknęła.

Zapart ucieszył się z mojego powrotu, bo wtedy zaczynały się długie opowiadania, przejażdżki po równych polach w towarzystwie całej psiarni, bo wtedy wypasały się, jak wieprze charty, a mimo to zająca doganiały.

Wtedy to Zapart żył życiem swych lat minionionych, życiem zapamiętałego charciarza jakim się był chyba urodził.

Widzę go stojącego przed swym niziutkim drewnianym pałacem.

Doskonale pamiętam to miejsce w ogrodzie, w którym opodał drogi, wśród gęstwiny akacy i bżów, stała buda, tyłem obrócona do folwarku, zbudowana z okrągłaków, słomą przykryta, z podwórkiem przy sobie, stanowiła letnią i i zimową rezydencją Zaparta i niezliczonej zgrai psów. Małe jej okienka zaszyły pajęczyną i odwiecznym kurzem; czas powykręcał i pochylił ściany, a deszcz pospłukiwał z nich wapno.

Z budą tą Zapart tworzył nierozdzielny całość. Wysoki i chudy, trzymał się zwykle górną częścią ciała tak pochyło, jakgdyby ciągle siedział na rozpędzonym w galopie koniu. Nadto miał on przyzwyczajenie

wysuwania jeszcze bardziej naprzód swej głowy i tak tkwiącej na przydługiej

szyi. Wyglądał też, jakby wciąż upatrywał zająca, czy śledził bieg swych chartów.

Nieraz w podwórzu, z jego miny dojeżdżacza żartowali parobcy.

— Zapart! Hedźgoha! — wołali, pokazując na podwalinę owczarni, lub korzenie obdartej topoli.

Zapart się obracał, szyję wyciągał, uszów nadstawiał, jak gdyby rzeczywiście z pod stajni, czy obory mógł pomknąć zając.

Parobcy dalejże w śmiech, a Zapart się gniewał.

— Duraki! dusikobyły! zabijwoły! — wołał, lub mruczał i dalej szedł w wytkniętym kierunku.

Twarz Zaparta miała dziwnie szlachetne rysy. Mimo sześćdziesięciu i kilku lat świeży rumieniec oblewał jego oblicze, którego charakterystykę tworzyły duże siwe oczy i wspaniały, jak mleko biały wąs. Dobry i spokojny wyraz twarzy jego zdradzał gołębią duszę, której żadna myśl, ani wspomnienie, żadna troska, lub żądza nie niepokoiły.

W stosunkach z ludźmi był poważnym, a nic nie było w stanie go rozbawić, chyba jaki nadzwyczajny charci figiel.

I nic też nie zasmucało go, chyba jakie psie nieszczęście, jaki dramat odegrany w czterech nieforemnych ścianach jego budy.

— Zapart! a charty zdrowe? — było zawsze pierwszym moim pytaniem, gdym go spotykał. Stary wzdychał.

— Zdrowe paniczu — odpowiadał stając wśród swej psiarni i prostując się — zdrowe psie bestyje, ino Lotka mi smutna... a i Dolot dziś nie wyjadł kartoflanki... a ten szelma Wicher pogryzł mi Pałasza... ale już sprawiedliwość zrobiona hoho! ino by daj tym sobakom się gryźć hoho.... sprawiedliwość wymierzona...

Oglądałem się po psiarni i szukałem Pałasza.

W kącie budy na łańcuchu przywiązany do ściany, stał Wicher, chart żółty jak cytryna z przywiązanym do siebie Pałaszem! Wicher miał założony na swoim długim i cienkim pysku kaganiec, a oba psy stały nad miską osypki z nóżkami.

Wicher ogonem merdał i spoglądał żałośnie na Zaparta. Pałasz już objedzony, stał smutny i zły z tego przymusowego towarzystwa.

Zapart co chwila się obracał do "Wichra".

— A hultaju! psubracie! nicponiu, a widzisz! dobra strawa, charcia strawa... a wara ci gryzimordo... ja cię oduczę! Nie bój się!

Wicher jakby rozumiał, bo skowyczał i ogonem kręcił i wyciągał pysk i żalose oczy stroił i uszy opuszczał i przeciągał się na przednich łapach i na miskę z zazdrością spoglądał.

To wszystko rozumiał Zapart, bo dalej z Wichrem rozmawiał.

— Rozumię... hultaju... a widzisz, a nie gryż... a koleżeństwo! a gdzie braterstwo? a gdzie serce psiamordo? Nie przymilaj się, nie łaś, nie proś... bestyo, tylko nie gryż, gryzimordo! — mówił już Zapart tonem łagodniejszym. Wicher w odpowiedzi, wydał długie, przeciągłe dziwnie smętne skomlenie i podwajał ruchów ogonem którym raz po raz uderzał o ścianę.

— Jaktó bestyja prosi... ? jaktó się mili i łąsi? — mówił Zapart, sam formalnie rozczulony, wpatrując się w oczy psa, który wszelkich starań dokładał, by skorzystać z dobrego usposobienia swego poczciwego pana.

Wicher usiadł na przednich łapach, wyciągnął się... zawył radośnie jakby czuł wygraną partyę i rzucił się jednym susem do Zaparta.

Ale łańcuch wyprężony zabrzączał, pies w tył się wyrzucił.

Zapart był już przy nim.

— Biedny Wicher — mówił tonem rozrzewnionym, stary Wicher, zły Wicher...

I swą drżącą ręką szukał kółka na obroży psa a ten już się rwał i cieszył.

W tej chwili chart był spuszczoney.

Zapart z łańcuchem w rękę stał i jeszcze mu się przyglądał.
Pies w skokach i lansadach około niego się uwijał.

— Pocziwie psisko! — kończył coraz ciszej Zapart, żałując cię... przepraszam cię, a nie gryź, bo

choćbym miał szelmo płakać nad tobą, łyż gorzkie ronić... tak uwiążę od świtu do południa.

Zaledwie się skończyło to przejście z Wichrem, a już inny chart dawał powód do długiej pogawędki i do nowych smutków i radości, rozczuleń i narzekań.

Sarna zwietrzyła przygotowane nóżki baranie, na tapczanie pod kożuchem Zaparta i wyciągając jedną po drugiej, zanosila swym charcietom.

Zoczył to Zapart, puścił łańcuch i kilkoma dużymi krokami, z gniewnym wzrokiem, z podniesionym harapem biegł w przeciwległy koniec budy.

"Sarna" właśnie z kością w pysku zeskakiwała z tapczanu.

Wejrzenia się ich spotkały.

Zapart, niemy z przerażenia spowodowanego krzywdą, wyrządzoną chartom, utopił wzrok surowy w oczach biało-kawowej suki.

Podniósł z zamachem harap, ale równocześnie "Sarna" wypuściła kość. Jednym susem znalazła się u nóg Zaparta, a zwinawszy się w kłębek, chowając liściasty ogon pod siebie, wyciągnęła w górę swą białą wyrazistą mordę, jakby prosząc o przebaczenie.

— Jak tu bić taką sobakę... ? — zawołał z radością — to mądrzejsze jak niejeden człowiek... a jakie to ślipia, jak u jakiej zalotnicy... a jakto patrzy na człowieka... ej! ty panno! ty milimordo, ty...

I zamiast uderzyć, Zapart zaczął się pieścić z suką, która czempredziej zbywając się tych pieszczot z wyciem i w skokach biegła do swych młodych.

— Co to za matka paniczu! — ciągnął dalej Zapart, rachując nóżki pozostałe na tapczanie — to i u ludzi rzadko takiej matki... a co to za zalotnica! hoho!...

niema rady z tą suką, nieraz to i w nocy, gdy sen nie przychodzi, człowiek sobie przysięgnie, że suce frycówkę wyprawi, a gdy przyjdzie z tą milimordą, się rozprawić, to mi serce mięknie... jak to patrzy na człowieka! kiejby narzeczona... panna! zalotnica! szelma!

A "Sarna" jakby rozumiała, że o niej mowa oczy pełne wymówek i wdzięczności topiła w twarzy Zaparta.

— Nie patrz się tak na mnie zalotnico, bo jak dzieci kocham... tak cię wyłupię... zjadła, zmarnowała osiem nówek... dwa obiady, oj dla Boga! co ja pocznę... kogo ukrzywdzę?

I zamyślił się głęboko Zapart i przebierał nóżki i mruczał dotąd, póki sam nie zdecydowałem się iść na spichrz i przynieść mu brakujące kości.

Wtedy Zapart się odzywał.

— Co to psom tych kości żalować? jak świat światem, tak baranie nóżki były charcim żarciem... co to rachować... tutaj u Zaparta powinny być złożone, a nie na spichrze. Co komu wydawać, abo ja zjem... ? czy co? oj la Boga, włóczyć człowiekowi stare nożyiska po śpichrzach za czym... za temi kosteczkami. Bo żeby to jeszcze były nóżki baranie jak się patrzy, ale to chudzizna, to jeno wiatr, nie mięso, żyd oskro-

bie ze skóry, ino zostaną kopyta i pischzel... i to rachować tym biednym psinom...

A gdym przynosił brakujące z powodu "Sarny" nóżki, Zapart jeszcze mruczał:

— Albo ta osypka? abo to osypka, abo tam jest ziarno? to ino druch owsa, otręby paniczu! dmuchnąć i fru... pójdzie wszystko z wiatrem, jak powietrze. Z czego to wyżywić te psiny, a jest chwala Bogu tego trzydzieści, trzydzieści żołdaków do

nakarmienia, trzydzieści pysków, gdy na ciebie spojrzę, a głodne... a co tu im dać, co? tę oszę, co jakby puch łabędzi, człowiekowi odmierzają i te nóżki, ot szkoda, że się nazywają, bo ino się nazywają, toć na jednego mało...

Wtem chart czarny, który cały dzień się wysypiał i nigdy nie miał snu dosyć, budził się, czując że nadchodzi pora obiadowa i donosił o tem przeciągłym ziewnięciem.

— Oj! musi być i dwunasta — mówił wtedy Zapart — filozof się obudził.

— Co za filozof?

— Ot ten czarny "Dyabeł" jak go zowią, ale to paniczku filozof, to pies, nie pies... cały dzień śpi, jego nic nie obchodzi, niech się charty bawią, latają, skakają, on śpi i je. To filozof, arystokrata bestya... z żadnym się nie zadaje, a co je, to je za sześciu. Zje i dalej spać, aż się obudzi na obiad, a po obiedzie, to znów na wieczere... A czasem, to się tak obeżre, że aż go brzuch zaboli. Wtedy szelma skowyczy i wyje

i tarza się i podnosi i miejsca znaleźć nie może, aż wreszcie w słomę się zakopie i tam już do wieczora, jak bak, czy wąż, czy gad jaki trawi, a w brzuchu mu wciąż, duł duł duł... a w pysku huuu... uuu... i tak idzie przez kilka godzin muzyka. — To filozof, arystokrata panie, ale dobry chart. Lisa bierze w pojedynkę, a na zająca to się i nie łakomi, zrazu pójdzie, ale gdy inne charty się z nim zrównają, to on wraca... co mu tani zające... to sztuka! Raz z panami jedziemy na lisy... Wziąłem Kusego, Szelmę i Filozofa — ej... psiakość... Dyabła! na jednej smyczy. Jedziemy na las het pod górę, tam od Olchowy, gdzie to z jednej strony błota, z drugiej Zakrzówek wieś, a pod nami las Złotowiecki. Patrząc, a tu na pagórku lis figle stroi i w kółko się kręci i kitą wywija i w górę się rzuca. Aż serce zagrało. — Cicho, sza... pokazuję panom, cicho, sza... jedziemy zapałszy oddech, by objechać lisa. Lis wciąż stroi figle, ale stary szczwany był to zwierz. Przystanął, podskoczył i rozejrzał się po świecie. Uszy postawił i na dwóch łapach się podniósł... Zapart lisa udawał, głowę na cienkiej szyi wyciągał i skurczał, rękami udawał przednie, nogami tylne łapy lisa i dalej z zapałem mówił.

— Wietrzył... coś zmiarkował, bo słuchał aż ruszył, dryg dryg dryg... dryg dryg dryg... i tylko kitą, to tu, to tu, na prawo, na lewo mierzy jak strzała do lasu. Hedźgoha! ryknę i jak puszczyć charty! Wedźgoha! panowie jak puszcza konie! Hedźgoha! wołamy

i pędzimy co koń wyskoczy. Charty płyną, konie sadzą, a lis kitą, już tu, już tu... on tu, kita tam, kita tu, on tam. Hedźgoha! wtem nieszczęście! widzę... Kusy się podbił i na trzech nogach po zagonach zmarzniętych podryga... dobiega Szelma i nuż obroty lisowi, ale lis stary i cięty, jak psu utnie raz i drugi i trzeci... tak i pies coś go puszcza. — A gdzie "Dyabeł"? — woła pan. — Aj! rychtyg! Dyabła niema, oglądam się, atu filozof przy koniu sztychuje i szelma obzarty się leni. — Aj! nieszczęście, lis już niedaleko lasu, Kusy nie podola na trzech łapach, Szelma nie dogoni, a tu filozof ani myśli. Hedźgolia! wołam na całe gardło, konie wyciągają na złamanie karku, po zmarzniętych skibach, a Filozof za nami. "Zapart! — woła pan już zły — co to? a Dyabeł?" Jak się odwrócę, jak harapem lunę Filozofa, jak ryknę Hedźgoha!.. nic! Filozof ani drgnie, a tu lis już, już do lasu. — Kusy nie poradzi. Pot występuje mi na całe ciało, pan się spogląda, panowie się śmieją, ja, ach! żeby się ziemia podemną, zapadła, żebym zmarniał tej godziny. — W tem przychodzi mi myśl. Stają! stają panowie! stają Dyabeł. Dyabeł! — ryknę — Hedźgoha! Dyabeł! lis! lis nie zając — Jak chart pomknie, jak ruszy!... Hedźgoha! szumi w powietrzu, pryska ziemia, sadzą konie. Dyabeł już już... a lis kitą to tu, to tam... już lis w lesie, już, już tylko dwa skoki... Dyabeł sunie... lis w lesie! nie... dojeżdżamy, coś się czerni pod lasem coś burego skacze... dojeżdżamy... Dyabeł na lisie, podrzuca go w górę, lis ostatniego tchu dobywa i od-

gryzą się i próbuje... bo jeszcze ma pięć kroków, pięć kroków do lasu. Zeskakuje z konia, a Filozof chrup... chrup... i po lisie. Podchodzę, lis leży na prawo... a Filozof siedzi sobie na lewo i za pozwoleniem... najspokojniej sobie....

— Co Zaparcie?

— Najspokojniej sobie paniczu... łajni za pozwoleniem. Filozof paniczu i kwita, arystokrata, pasibrzuch i basta! ale chart!

Zapart z największą powagą skończywszy, poszedł pogłaskać Dyabła. Ten bynajmniej nieczuły na te karesy, spoglądał w stronę koryta, w którym psom obiad dawano.

Ale czyż Zapart mógł odpocząć, gdy był w swojej psiarni, gdy do tego przy nim był panicz, który chętnie go słuchał i podniecał.

Psy codziennie, od lat pięćdziesięciu, dawały mu sposobność wygadania się od świtu do nocy, bo to nie były psy, tylko to były osoby znane i w najsubtelniejszych odcieniach charakteru przez Zaparta badane, były to: Dolot szybkonogi, Dogoń uparty, Lotka delikatna, Sarna zalotnica, Pałasz ponury, Pszczoła desperatka, Wichel zła morda, Dyabeł filozof i t. d. i t. d.

Już się też Zapart, nawołany przez arystokratę pasibrzucha, zabierał do przygotowywania "strawy sobaków", gdy jakiś pstrokaty chart uciął i równocześnie rozległ się skowyk piskliwy w psiarni.

Zapart upuścił cebrzyk i szukając wzrokiem winnego, stanął jak wryty.

Pstrokaty chart z łbem spuszczoneym, ogonem pod siebie, zmierzał do drzwi, wychodzących na ogrodzone podwórze.

Popielaty roczny charcik skowyczał przeraźliwie.

Zapart był już przy nim.

Z ucha psa ciekła krew.

Zapart jak lekarz usiadł na ziemi i wśród ciągle powtarzającego się jęku szczeniaka, zaczął oględziny.

— A psiakrew — mówił — to niezawodnie ten "wójt" pstrokaty go ujadł.

Podniósł oczy i szukał. Wnet po minie charta poznał winowajcę.

— A ty złodzieju! ty, a nie inny! pstrokaty "wójcie"! przeciąłeś mi ucho mojego Turka... dam ja ci... zaczekaj... a szelma... "wójt!"

— Co za wójt Zaparcie?

— "Wójt" paniczu, bo wójt! Nie dziw, że taki z pstrokatej mordy podobny do dziobatego wójta, ale i wójt w gromadzie... jego się każdy pies boi, nawet Dogoń nie lubi z nim zadrzyć, a chodzi bestyja jak jaki gminny... łeb do góry, zęby zawdy na wierzchu, tylko ugryźć... ale opowiem, co ja miałem z jego matką za hece... to była suka zacięta i co ona nam raz narobiła święty Boże! o mało że nie śmierć. Rychtyg wdał się w matkę, a ją przezwano "suchą mordą", bo chuda była, a zaarta. Też to było, gdy żyd się zabłąkał pod psiarnię. Młodszym był człowiek i pustoty trzymały się głowy...

Jak żyd przechodził, a głową skinął, to szedł dalej psubrat, jeżeli zaś nie, to uchylałem drzwi od psiarni i cicho do Suchejmordy — hejże żyda! — Nie trzeba było dwa razy powtarzać. Charcica jak wiatr pognała za żydem, za nią inne charty, póki drzwi nie przymknąłem, dalej brać żyda w obroty, dalejże go za hałat i skakać do pejsów i mycy, a ja się przyglądałem przez okno i pokładałem od śmiechu.

"Gwałt! gwałt! herste! Gwałt psi! psi! gwałt! wołał żyd, obracając się jak wiatrak i wywijając połami, a wrzeszcząc w niebogłosy.

Gdy na żydzie już pchły ze strachu marły, wychodziłem przed psiarnię i nawoływałem sobaki. A za suchą mordą, to i nieraz musiałem lecieć, bo byłaby żezała żyda... Dopiero żyd sapał "a gwałt... herste... kto widział takie psi

aj! aj... gwałt tyła strachu... w tym dworze takie psi" — i dalej sapał opierając się o drzewo.

Pstrokaty to rychtyg jak ona. Otóż raz wyjechaliśmy na polowanie, a było koni ze trzydzieści, panowie z całej okolicy, była i hrabina ze Złotowa, bo hrabiny to jeżdżą konno jak jakie beraityry i panna z Olchowa nieboraczka, co to wyszła za dziedzica, jakże się też przeżywał... ej kiedy przepomniałem — z Brodów. Był i pułkownik nasz hrabia Franciszek i pan August i pan "Władysław... poczciwa dusza... Aj była i pani sędzina z Byczycy, była kupa gości. Jedziemy przez ściernie wszyscy razem, charty obok nas, to przed koniem skaczą w prisiudach, jak

mówił pan August, słońce przypieka, konie ino chrapią i rwą się do jazdy. Mieliliśmy założyć na Wygnance, gdzie była stara podorywka. Charty jedne na smyczy, drugie na wolności. Wtem psy pomknęły, my za nimi. Go się stało nikt nie wie. Suka "suchamorda" wali pierwsza, coś czarnego, nie zając, ucieka. — Aj! gwałtu — zawołani, to kot Miluś naszej starszej pani. — Gwałtu! powtórzył starszy pan i wszyscy dalejże ratować kota. Pierwsza dopędziła hrabina z Złotowa charcicy, co już, już chwyciła Milusia. Kot nie wiedząc co z sobą począć, wskoczył na kobyłę hrabiny. Jak pójdzie kobyła z miejsca, jak ruszy, jak pomknie, to niczem zając. Hrabina drze się jak szalona, kot siedzi na zadzie konia, za pozwoleniem i trzyma się pazurami, a charcica skacze do niego, kobyła jak wściekła pomyka, nie wiedząc co się z nią dzieje. Wszyscy za nią. — "Ratujcie! ratujcie!" woła hrabia z Złotowa i bodzie konia ostrogą. "Ratujcie" woła pani sędzina choć ostatnia pędzi. — Kobyła widząc, że ją gonią, coraz lepiej sadi. — Charcica coraz lepiej skacze. — Kot coraz silniej w konia pazury wciska. — Pan August dobiegł, już trzyma za trenzlę konia hrabiny, już, już konie zwalnają. — Z tego korzysta "sucha morda" i dalejże do kota. — Kot z konia hrabiny wali na konia pana Augusta. — Na nowo cała historia! — Jak pójdzie, jak wsadzi łeb między nogi, jak zacznie świstać... ryms! buu! pan August leży... Nadjeżdża pani sędzina, co się w nim durzyła buu... buu, baba na ziemi... Strach, jedni nie

mogąc wstrzymać koni, gnają dalej za koniem pana Augusta, który kota powozi... drudzy ratują panią sędzinę, którą koń przywalił... inni się śmieją i zamięszanie jak w kotle ze śliwkami. Wyłazi z pod konia i z pod pani sędziny pan August potłuczony mocno... wydobywają panią sędzinę, ale baba się podnieść nie może... starszy pan posyła po powóz... i koniec polowania. Suchamorda tak wszystko popsuła. Wracamy! wychodzi przed nas starsza pani, wysadzają z powozu panią sędzinę... sędzia w lament... desperacye... co to suka narobiła! W dobre pół godziny pani starsza siedzi z gośćmi w ganku i radzą nad obojczykiem sędziny, aż tu ziemia się trzęsie... tapapaj, tapapaj... pędzą dwa konie, białe od piany i stają przed gankiem, a na jednym siedzi "Miluś". Wszyscy w śmiech, a starsza pani dalejże łajać kota, ale jakoś to łajanie nie szło. Wołała pani, oj! bo też lubiała koty, że sędzina potłukła sobie obojczyk, niżby, suchamorda" miała zagryźć "Milusia". Oj la Boga! zagadałem się, a tu już przedzwonili na południe...

Spojrzał na psy, które zrozumiały i wszystkie już się tłoczyły do właściwych misek. Jadły bowiem po trzy, po cztery, jak je mógł Zapart pogodzić i jak je dobrać według apetytu.

A cóż to była za radość, gdy przyszedłem oznajmić Zapartowi, że sprosiłem kilku myśliwych i że się popołudniu odbędzie polowanie z chartami.

Fizyognomia jego nie drgnęła, nie zdradził swego zadowolenia, jakby się wstydził tej jedynej wielkiej

namiętności. A łatwo ją było odgadnąć w każdym ruchu, chód jego robił się lżejszym, rumiana twarz dostawała rumieńców, oko nabierało blasku. Zapart w oczach młodził, lecz mruczał.

— Co to dziś polowanie... abo to polowanie? tam te kilka koni i kilku wychuchanych paniczów. Bywało dawniej, gdyśmy na koń siadali ze wschodem słońca, a w nocy ku domowi ściągali. Bywało uszczuło się piętnaście, dwadzieścia, czterdzieści kotów do południa, a od południa drugie tyle. Ziemia dudniała od kopyt końskich, kurz się unosił od łap charcich, a powietrze jęczało od heco-heco-heco... heco-heco-heco... Popas w lesie paniczu... każdy z kieszeni dostawał co miał. — Zapart nosił butelkę ze starka, a na furze pod chore charty i zające, znalazł się i owies dla koni i bigos dla panów, to mi było polowanie... a nie dziś. Albo powrót przez wieś gdy słoneczko dawno się już schowało... wybiegały dziewczęta krasne jak maliny... dzieciaki były w dłonie, panowie ruszyli kłusa aż jęczało, a Zapart za nimi i charty... biedne, pomęczone... głodne, ogony na dół, uszy obwisłe. Ale niechby Zapart zamruczał heco... heco... heco, tożby pokazały. — Za mną dopiero fura czterokonną... pełna kocich słuchów... było tego jak plewy, choć tam żadnych nie było praw o polowaniu. A z fury, jak jakie damy wyzierały charcice, bo ta się podbiła, a tamta pazury sobie pokrzwawiła, a inna znów była kotna. Siedziały jak hrabiny w powozie i czarnymi ślipiami z dumą patrzyły na chłopów i parobków... to było polowanie, ale nie

dziś... wyjedzie się popołudniu... uszczuje dwa zające i już ten zmęczony, tamtego coś kłuje, ów głodny, a każdego, za pozwoleniem, od siodła coś boli. Co mi to za polowanie? Nie ma panów... nie będzie wnet i chartów!

Wyjeżdżaliśmy na polowanie.

Zapart jak młodzik siedział na koniu, jak jaka postać z ilustracyi do dzieł Kaczkowskiego.

Pochylony naprzód z wyciągniętą szyją, zaciekawionemi iskrzącemi oczami, wachał, słuchał, wypatrywał, wietrzył, przeczuwał biednego zająca.

Gdy Zapart powiedział tu będzie zając, zając był niechybnie.

— Paniczu! odzywał się nieraz cicho w polu — kot!

— Gdzie?

— Ot tam... w kotlince na prawo... widać mu słuchy...

Nikt nic nie widział, ale stary się nie mylił — pod skibą siedział zając, a dwa czubki jego uszów, o sto, o dwieście kroków swym sokolim wzrokiem przeczuł Zapart.

Trzeba go było widzieć, gdy zoczywszy zająca, starał się go bliżej podjechać.

Oddech zapierało mu w piersiach.

— Heco... heco... heco... — szeptał tylko wzywając charty do bacności.

A gdy zając ruszył.

— Hedżgoha! — ryknął Zapart i puszczał się za psami wolnym galopem.

Nie doganiał. — On, jak jaki generał, śledził bieg swych psów.

Psy dopiero co za zającem pomknęły; a Zapart już wiedział który go weźmie, a który mu da pierwszy obrót,

— Kusy weźmie! — wykrzykiwał i puszczał się w pogoń — choć "Kusy" nieraz w tej chwili był ostatnim... i Kusy ostatecznie brał.

W miarę jak dojrzywał, Zapart, ta najwybitniejsza osobistość w mej pierwszej młodości, ustępował miejsca innym ideałom.

W rodzinnej wiosce dużo się zmieniło, starsi państwo dawno już byli na cmentarzu pod białym krzyżem, opodal drewnianej cerkwi. Byli tam już i inni tak często wspomnani w opowiadaniach Zaparta, był tam i kamienny grobowiec hrabiny z Złotowa, i sędziego z Olchowa.

Ale w psiarni nic się nie zmieniło — rumiana twarz Zaparta nieco zbladła, jego

gęsty wąs położył, jego sokole oko się przyćmiło.
W psiarni nic się nie zmieniło — nowe pokolenia chartów zastępowały stare, Kusy ustępował Roztrzepanemu, Lotkę zastępowała "Chmura" a "Wicher" leżał dawno już pod akacją, którą Zapart jakby nagrobek mu posadził.
Akacja już szumiała i strzelała w górę w gęstwinie.

Wszystko się zmieniło, ale nie Zapart!
Niestety! przybyłem wreszcie do Jurowa, w charakterze dziedzica.
Nie będąc zapamiętałym amatorem polowania z chartami, pomyślałem o zmniejszeniu psiarni, której utrzymanie będąc coraz kosztowniejszym, stawało się uciążliwym.
Udzieliłem swej myśli Zapartowi.
Zapart spojrział na mnie, jakby mnie nie rozumiał, ale wzrokiem tak bolesnym, tak przenikliwym, żem zawstydzony wyszedł z budy.
Inne zajęcia nie pozwalały mi na pogadanki z starym sługą, którego miesiącami nie widywałem.
Tytułował on mnie zawsze "paniczem", choć już dawno nie było starych państwa, choć nie było i młodszych państwa.
Jakąż dziwną zmianę zauważyłem w Zaparcie od chwili, w której nie jako panicz zawitałem do jego budy.
Kładłem ją na karb zmienionych stosunków, wieku Zaparta, mego wieku, wreszcie innych gustów i myśli.
Aż wreszcie raz wieczorem, oznajmiono mi, że Zapartowa pragnie się ze mną widzieć.
Czemprowadź wybiegłem.
— Cóż żądacie moja kobieto?
— Ej., nic, jasny panie, tylko mi cosik stary niedomaga, od czasu jakeście mój złocisty paniczu powiedzieli, że te psiska chcecie porozpędzać i tę psią

budę skasować... tak coś się stało mojemu, że i niedoje i nie dośpi i cosik ciągle zafrasowany i bardzo., bardzo ntrapiony... Poradźcie co, mój dobry panie, bo mi stary zmarnieje, lub się obwiesi na gałęzi, jak jaki heretyk... Poradźcie co, mój jasny paniczu, bo aż serce w kawałki się kraje, patrzeć na to marnowanie mej starowiny.
Do łez prawie rozczulony, pocieszyłem i odprawiłem do domu kobiecinę.
Od dnia tego, co dzień rano zaglądałem do psiarni i pół godziny poświęcałem Zapartowi. Dopytywałem się o zdrowie chartów, o ich byt — pozwalałem nawet wygadać się staremu, byle mu tylko uprzyjemnić koniec życia, jak on mi umiłał początek.
Ale napróżno, bo Zapart zawsze kończył.
— Taki panicz nie tak te sobaki lubi, jak je lubiał starszy pan... I młodszy pan kochał te bestyje, ale to już nie to co starszy...
Wzdychał i wzdychał.
Mimo to widocznem było, iż Zapartowi moje odwiedziny były miłemi. — Powoli powracał do swych gawęd, do swych siedmdziesięcioletnich przywyczek.
Za każdym razem upewniałem go, że myśl moją zwinięcia psiarni porzuciłem.
Zapart odpowiadał.
— Byli panowie, były i psiska... nie żałował im starszy pan, a i we dworze był dostatek, było co zjeść i panu i służce i sobace... Bóg dla każdego daje...
paniczu — toż i to stworzenie jego.

Raz jak zwykle zaszedłem do budy.
Zdziwiony, zastałem drzwi jej przymknięte.... charty z ogonami opuszczonymi ku ziemi, smutne chodziły w jej wnętrzu i na podwórku.
Otworzyłem.

Zapart leżał na tapczanie z dziwnie błogim uśmiechem na swych bladych ustach.
Zaparcie! — zawołałem i dotknąłem się jego ręki, która była zimną i sztywną.
Stałem jak wryty.

Staruszek leżał z głową opartą na kozuchu, z pod tego zaś wyglądały baranie
nóżki, które psy, nie mogąc się doczekać śniadania, zaczęły już wyciągać.
Łzy obfite stanęły mi w oczach.

Zapart, przyjaciel mej pierwszej młodości. Zapart, któremu zatrąłem kilka
miesiący jego ostatnich chwil, leżał skostniały i nieżywy.

Płakałem jak dziecko i cała moja urocza młodość stanęła mi w oczach i zdawało mi
się, że z Zapartem, uleciało jej drogie nawet wspomnienie.

Płakałem długo... a opuszczoną rękę moją. lizała "Sarna" zalotnica, stara i
smutna, jakby mnie pocieszając po stracie, którą swemi dziwnie modremi oczami
zdawała się i ona rozumieć.